

Wejherowski Konkurs Literacki

# Powiew Weny



POWIATOWA I MIEJSKA BIBLIOTEKA  
PUBLICZNA W WEJHEROWIE  
IM. ALEKSANDRA MAJKOWSKIEGO

WEJHEROWO 2009

Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna  
w Wejherowie im. Aleksandra Majkowskiego

**Wejherowski Konkurs Literacki**

# **Powiew Weny**

Pod patronatem  
Prezydenta Miasta Wejherowa

WEJHEROWO 2009

Wydawca:

**Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna  
w Wejherowieim. Aleksandra Majkowskiego**

Opracowanie, skład komputerowy, fotoreprodukcje  
i korekta techniczna: Henryk Połchowski

Projekt okładki: Henryk Połchowski

Korekta: Ewelina Magdziarczyk-Plebanek

Skanowanie i odczyt elektroniczny: Krzysztof Powąłka

Grafika: obrazy międzynarodowego pleneru „Ustka-2009”  
z wystawy bibliotecznej pt. „Pejzaże Morskie” w Wejherowie  
udostępnione do publikacji przez Stowarzyszenia Artystów  
Plastyków w Wejherowie i Słupski Klub Plastyków  
im. Stefana Morawskiego w Słupsku

Druk. Drukarnia ACTEN Wejherowo  
ISBN

Drodzy Czytelnicy!

Tegoroczna IV edycja Wejherowskiego Konkursu Literackiego "Powiew Weny" zrealizowana przez Powiatową i Miejską Bibliotekę Publiczną im. Aleksandra Majkowskiego w Wejherowie pod patronatem Prezydenta Miasta Wejherowa przebiegała pod hasłem: „Pędź na spotkanie przygody, nim inni zajmą Twoje miejsce”. Powyższe motto związane jest z projektem bibliotecznym "Made in America", który otrzymał główną nagrodę w VIII edycji Konkursu European Language Label pod patronatem Ministerstwa Edukacji Narodowej. W ramach tego projektu Wejherowski Konkurs Literacki został wzbogacony w tym roku o kategorię prozy w języku angielskim dla młodzieży licealnej. Trzeba przyznać, że był to dobry krok ze strony organizatorów, gdyż piszący w języku angielskim nie zawiedli.

W sumie na tegoroczny konkurs literacki "Powiew Weny" napłynęło 76 utworów napisanych przez 37 pisarzy i poetów. W konkursie wzięli udział znani jurorom twórcy, jak i debiutanci. Wśród tych ostatnich dość licznie prezentowała się młodzież przedkładając komisji konkursowej ciekawe wiersze i opowiadania.

Autorzy podejmując temat przygody pisali o wydarzeniach realistycznych, niecodziennych, a nawet baśniowych. Przygoda bowiem jest czymś, co wiąże się z żądzą poszukiwania wrażeń i podejmowania ryzyka. Jest czymś co wspomina się, co zostawia trwałe ślady i czasem wpływa na całe życie, choć bywa że się jej żałuje, bądź przeklina do końca życia.

Możliwość opisanego swoich przygód językiem prozy i poezji, to szansa przekazania swoich przeżyć, wrażeń i odczuć z osobliwych zdarzeń i podróży w sposób nacechowany subiektywnością swojego spojrzenia na świat. To znakomita okazja wykazania się kunsztem słowa, owocem swoich przemyśleń i refleksji, które mogą sprawić przyjemność i radość, a czasem stanowić cenną naukę i radę, z którą warto się podzielić z innymi. Napisane słowo ma bowiem wartość ponadczasową. Dzięki publikacjom książkowym zapisane słowa mogą przetrwać dziesiątki lat, a nawet wieki.

Jestem przekonany, że mecenat Prezydenta Miasta Wejherowa sprawowany od wielu lat nad wejherowską kulturą, który pozwala rozwijać uzdolnienia różnego rodzaju artystom m.in. malarzom, fotografikom, aktorom, muzykom i śpiewakom, poszerza się z roku na rok także o ludzi pióra - pisarzy i poetów. Cieszę się, że podejmowane przez dyrektora biblioteki Danutę Balcerowicz ini-

cjatywy na rzecz rozwoju pisarstwa literackiego i czytelnictwa przynoszą konkretne rezultaty, są godne podziwu i warte kontynuacji.

Wszystkim, którzy wzięli udział w tym konkursie z całego serca gratuluję decyzji a także możliwości zaistnienia w publikacji książkowej, która jest pokłosiem naszego konkursu. Wszystkich mieszkańców ziemi wejherowskiej obdarzonych uzdolnieniami literackimi zapraszam do kolejnej piątej edycji konkursu "Powiew Weny" w roku przyszłym.

Bogdan Tokłowicz  
Przewodniczący Komisji Konkursowej  
Zastępca Prezydenta Miasta Wejherowa



*Andrzej Mozol – Słupsk*

WYNIKI  
Wejherowskiego Konkursu Literackiego  
„POWIEW WENY – 2009”

Prace konkursowe oceniało jury w składzie: Bogdan Tokłowicz – przewodniczący (zastępca prezydenta Wejherowa, nauczyciel), członkowie – Danuta Balcerowicz (dyrektor biblioteki, polonista), Eugenia Drawz (polonista), Olga Aleksandrowicz (pracownik naukowy UG, anglista), Ewelina Magdziarczyk-Plebanek (polonista, teatrolog), Henryk Połchowski (polonista, dziennikarz).

**A – grupa do lat 19**

PROZA

- 1 nagroda: Mateusz Wasilka – „Pricekar” (Wejherowo),
- 2 nagroda: Paulina Richert – „Inkaust” (Luzino).

PROZA W JĘZYKU ANGIELSKIM

- 1 nagroda: Marcin Janik – „Kółko” (Wejherowo),
- 2 nagroda: Marek Janik – „Trójkąt” (Wejherowo),
- 3 nagroda: Sandra Conradi – „Julka” (Reda),
- 3 nagroda: Ewa Zaborowska – „Księżyc” (Wejherowo),
- Wyróżnienie: Tomasz Cieśla – „Tomasz” (Rumia).

POEZJA

- 1 nagroda: Marcin Pelcer – „Martin Polaco” (Bałomino),
- 2 nagroda: Anna Hadała – „Anna” (Wejherowo),
- 3 nagroda: Alicja Sobieraj – „Alicja” (Wejherowo),
- Wyróżnienie: Katarzyna Sikora – „Kasias” (Głazica),
- Wyróżnienie: Krzysztof Kamil Bojarski – „KKB” (Wejherowo).

**B – grupa dorosłych**

PROZA

- 1 nagroda: Lucyna Kurpiewska – „Szpilka” (Wejherowo),
- 2 nagroda: Magdalena Topp – „Berminiszka” (Wejherowo),
- 3 nagroda: Elżbieta Czarnecka – „Lejla” (Wejherowo),
- Wyróżnienie: Anna Ceszke – „Agrafka” (Wejherowo).

POEZJA

- 1 nagroda: Tadeusz Buraczewski – „Konrad” (Reda),
- 2 nagroda: Teresa Mielewczyk – „Emma” (Wejherowo),
- 3 nagroda: Maria Magdalena Grzesińska – „Dominika” (Wejherowo),
- 3 nagroda: Marta Szmytke – „Kwiatek” (Wejherowo),
- Wyróżnienie: Anna Wiśniewska-Richert – „Erna” (Wejherowo).

## WSTĘP

Kiedy zastanawialiśmy się nad mottem do tegorocznej edycji „Powiewu Weny”, która stała się częścią projektu „Made in America”, zadaliśmy sobie pytanie o to, z czym kojarzy nam się literatura i szerzej – kultura – amerykańska. Skąd pomysł na słowa „Pędź na spotkanie przygody, nim inni zajmą Twoje miejsce”, będących parafrazą słów z filmu „Trzynasty Wojownik”? Okazało się, że znakomita większość z czytanych lub oglądanych, czy to w okresie młodości, czy też w wieku starszym, książek lub filmów autorów amerykańskich oparta jest na przygodzie. Śledzenie burzliwych losów postaci takich jak Indiana Jones, czy Luke Skywalker łączy zafascynowane nimi pokolenia, gwarantuje dobrą zabawę i skłania do poszukiwania „drugiego dna” ukrytego pod przygodową fabułą. A czego by nie myśleć o kulturze amerykańskiej, to trzeba przyznać, że „drugie dno” znajdzie się zawsze, a każda przygoda staje się okazją do czerpania z drzewa życia pełnymi garściami. Cieszymy się, więc, że w tym roku uczestnicy Wejherowskiego Konkursu Literackiego popędzili wraz z nami na jej spotkanie...

Tworząc w tym roku dodatkową kategorię „proza w języku angielskim”, zastanawialiśmy się, z jakim spotka się ona zainteresowaniem. Okazało się, że w tej kategorii było więcej prac niż w grupie wiekowej „A” w kategorii „proza” (czyli tradycyjnej, pisanej w języku polskim). Oznacza to, że więcej młodych ludzi zdecydowało się nie tylko na sam udział w konkursie literackim, ale równocześnie na przygodę z językiem angielskim na wysokim poziomie. Budzi to oczywiście naszą radość i szczerzy szacunek dla wszystkich, którzy spróbowali swoich sił w tej nowej materii.

Na tle złożonych w tej kategorii prac wyróżniała się zwłaszcza jedna, która bezapelacyjnie zdobyła pierwsze miejsce. Historia „Holiday In Svřlsna”, bo o tej pracy mowa, urzekła mnie swoim klimatem, przywodzącym na myśl niewątpliwie trzymające w napięciu powieści Stephena Kinga. Pomysłowa, budząca grozę, wciągająca w wir wydarzeń aż do ostatniego zdania, a co najważniejsze napisana na wysokim poziomie literackim. Budzi to nadzieję na dalsze sukcesy, jakich na miarę tych Kinga, autorowi życzę.

Przygoda z naszego motta pojawiła się w tytule pracy nagrodzonej drugim miejscem jako „Adventure”. Pomysłowość autora i jego przewrotny sposób ujęcia tematu przejawiał się już na początku pracy, kiedy okazało się, że głównym „

bohaterem” jest tajemniczy samochód z wymalowanym napisem „Adventure”. To również przykład dobrze zbudowanej i ciekawej historii, która z powodzeniem mogłaby być przeniesiona na ekran.

Pierwsza z dwóch nagrodzonych trzecim miejscem prac odwołała się bezpośrednio do motywu konkursowego. Jej przesłanie można by podsumować zdaniem pojawiającym się pod koniec : „everything is possible”. Druga z tych prac odwołuje się do wzorca kobiecej powieści amerykańskiej, cieszącej się ogromnym zainteresowaniem naszych czytelniczek. Już sam tytuł pracy : „For longer than forever”, przywołuje na myśl książki na przykład Daniel Steel, przy których miliony kobiet na całym świecie spędzają wieczory. Przez tę pracę przebija ciepło i optymizm oraz prawdziwy talent autorki, którego nie można zmarnować.

Podkreślić należy też wartość pracy wyróżnionej, której zwłaszcza język zapadł mi w pamięć. Autor bardzo przekonująco przemawia tam do czytelnika, a zdania takie jak „Take the bit in your hands” na długo zapadają w pamięć.

Tak jak wspominałam, w kategorii „proza” w grupie wiekowej „A” pojawiło się tylko kilka prac. Czy to znaczy, że młodzi ludzie wolą teraz ubierać swoje myśli w słowa poezji? Mam nadzieję, że tak, bo wolę nie myśleć, że wśród młodego pokolenia niewielu jest tych, którzy zajmą się w przyszłości pisaniem wartościowych powieści. Niewielu, ale z pewnością są, czego dowodzą prace nagrodzone w tej kategorii.

Są to dwie skrajnie różne prace, co może tylko cieszyć, bo oznacza, że mamy zdolnych młodych ludzi, którzy w przyszłości zasilić mogą szeregi twórców z różnych gatunków. Praca nagrodzona pierwszym miejscem to historia rodem z fantasy. Choć wydaje się, że w takim gatunku najłatwiej jest tworzyć, bo przecież świat przedstawiony może zawierać tu przeróżne elementy, to trzeba ogromnego talentu, żeby napisać ciekawą historię na wysokim poziomie. Ta sztuka udała się niewątpliwie autorowi nagrodzonej pracy.

Druga z tych prac bliższa jest sprawozdaniu. Tutaj spotkanie z przygodą przyjęło hasło, które równocześnie zagościło w tytule : „Pokonać siebie”. Duży podziw budzi tu nie tylko sama relacja z wyjątkowej wyprawy, ale także sposób jej prowadzenia. Pozwala to przypuszczać, że autorka odnaleźć się może w każdym gatunku.

W grupie wiekowej „B” tej samej kategorii poziom był bardzo wyrównany. Moim zdaniem zwłaszcza prace z pierwszego i drugiego miejsca były równie dobre. Myślę, że byłabym wierną czytelniczką obydwu autorek.

Nagrodzony pierwszym miejscem „Antykwariusz” to niezwykle ciekawa opowieść, której fabuła wciąga od pierwszych zdań. Trzeba niebywałego talentu żeby, po pierwsze, wymyślić taką historię, a po drugie, opisać ją w tak intere-



sujący sposób. Autorka zdobyła mój szacunek zwłaszcza tym, że nie zadowala nas banalnym rozwiązaniem i bełkotliwym „Happy Endem”, ale pozostawia karty rzeczywistości nieodkryte. To sprawia, że historia żyje w nas jeszcze długo po przeczytaniu ostatniego zdania.

„Mont Blanc” to praca, która urzekła mnie zwłaszcza językiem i kobiecym punktem spojrzenia. Pamiętam jak z uśmiechem pod nosem czytałam jej pierwsze zdanie : „Kiedy ukończyłam sześć lat, z monstualnym podnieceniem oznajmiłam matce, że zamierzam zostać księdzem.” Od dziecinnej prostoty i naiwności po kobiecą dojrzałość i zrównoważony sentymentalizm – spod pióra autorki wychodziły opisy każdego stanu duszy. Myślę, że jeszcze o niej usłyszymy.

Praca, która zajęła trzecie miejsce, czyli „Przeprowadzka”, zakorzeniona jest w naszych realiach regionalnych. Miło było przeczytać historię, która toczy się w scenerii zza naszych okien. Ciekawa i mądra opowieść, która czerpie z tak ważnej dla nas historii.

Warto wspomnieć jeszcze o pracy wyróżnionej, czyli o opowiadaniu „Pudełko wspomnień”. Ciepła historia o odnalezionym na babcinym strychu zawiątku, roztaczała przede wszystkim pozytywny klimat. Nawiązywała bezpośrednio do motta w sposób, który pozwolił mu stać się „żywym” i możliwym do realizacji.

Wspominając o poezji, zwłaszcza w grupie „A”, trzeba przyznać, że cieszy nas fakt, iż młodzi ludzie wciąż chcą się wyrażać za jej pośrednictwem. Mówi się o tym, że współczesna młodzież to przede wszystkim e-pokolenie, które potrafi pisać głównie maile i smsy, a nasz konkurs stał się okazją do „wyłowienia” tych młodych ludzi, którym i muza poezji nie jest obca. Muszę powiedzieć, że było to dla mnie miłe zaskoczenie i wszystkim, którzy nadesłali swoje prace chciałabym powiedzieć za prof. Kazimierzem Dąbrowskim „Bądźcie pozdrowieni, Nadwrażliwi!”.

Mawia się również, że to głównie dziewczyny lubią pisać liryki, a wiersze nagrodzone w tej grupie pierwszym miejscem wyszły spod pióra młodego mężczyzny. Wszystkie wydobywają najważniejszą esencję z motta. Zapadł mi w pamięć zwłaszcza jeden z nich, który kończy się znamiennymi słowami:

*Kwiat Paproci  
Rozwija swoje pęki  
I czeka na ciebie  
Czeka aż zdecydujesz  
Odnaleźć prawdę*

Piękne odkrycie wspomnianego drugiego dna : przygoda, która staje się odkrywaniem prawdy.

„*Mój umysł wciąż błądzi między kobietą a dziewczynką*” pisze w wierszu laureatka drugiego miejsca. To przykład na to, jak poezja oddawać może stan ducha w trudnym dla twórcy okresie. Być może tylko w ten sposób, tylko na tę krótką ulotną chwilę zakłęta w słowach wiersza, uzewnętrznia się to, co na co dzień ukryte jest w zakamarkach duszy. Dlatego warto pisać.

Myśląc o laureatce trzeciego miejsca mam przed oczami zwłaszcza wiersz „*Kim jestem?*”, który również jest pięknym literacko głosem zagubionej nastolatki. Równocześnie jest to przykład nie tylko na to, że warto się wsłuchać w ten głos, ale i wyciągnąć z tego naukę dla siebie. Bo czy właśnie nienaznaczona jeszcze rutyną życia nastolatka nie ma czasem ważnych rzeczy o nas samych do powiedzenia? We wspomnianym wierszu, w którym prowadzi dialog ze swoim odbiciem w lustrze, napisze na koniec:

*Przypatrzyć się czasem należy odbiciu  
Czy zniekształceniu nie uległo w życiu.*

Autor, który zdobył wyróżnienie to kolejny młody człowiek, którego warto posłuchać:

*Tylko spójrz w dal  
W tę najbardziej nieprzejednaną głębie  
Głębie twego życia*

Pozostaje tylko żywić nadzieję, że uzdolnienia tych młodych ludzi pozostaną wykorzystane.

Wśród prac z grupy wiekowej „B” bezapelacyjnie wygrał autor, którego język poetycki nie dosyć, że sięga wyżyn literackich, to jeszcze służy mu do tego, by mówić o rzeczach wartościowo istotnych. Pozostaje mu walczyć o to, by móc nadal tworzyć, a jak sam pisze w jednym z nagrodzonych wierszy

*Życie bez walki – jest niewiele warte...*

Laureatka drugiego miejsca w swoich wierszach zabiera nas w podróż do Ziemi Świętej. Tutaj „pędzenie na spotkanie przygody” nabiera znamion wyjątkowej wyprawy w głąb siebie.

W przypadku pierwszej z dwóch laureatek trzeciego miejsca mamy po raz kolejny do czynienia z zakorzeniem w realiach regionu. Jak się okazuje, spacer po Kalwarii Wejherowskiej może natchnąć do głębokiej, poetyckiej twórczości.

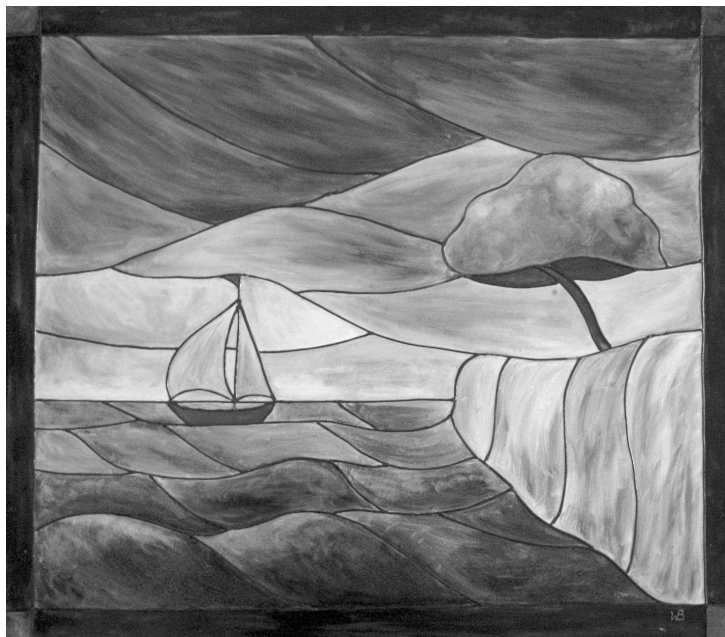
Druga z laureatek bardzo bezpośrednio odwołała się do motta konkursowego i zrobiła to w bardzo wartościowy sposób. W tym wypadku „przygoda” również nabrała wyjątkowych znamion:

*Na dżunglę zamienić wakacje na plaży,  
podróżować nie tylko przy komputerze,  
na choć jedną przygodę się odważyć  
zanim człowiek naturę zabierze...*

W jednym z wierszy nagrodzonych wyróżnieniem również przewija się wątek Wejherowa. Jak widać, związani jesteśmy z naszą „małą ojczyzną”, która budzi tyle ciepłych uczuć.

Podsumowując, IV edycja Powiewu Weny pokazała, po raz kolejny, że na terenie powiatu wejherowskiego wielu jest twórców zasługujących na uwagę. Motto, które przyświecało naszemu konkursowi stało się okazją do wyrażenia „przygody” w brzmieniu wrażliwości każdego z autorów. W ten sposób spotkanie z nią pozwoliło nam również na odkrycie wartościowych pokładów talentu, drzemiących w wielu duszach...

*Ewelina Magdziarczyk-Plebanek*



*Wanda Kościelna – Lębork*

## **„Antykwariusz”**

Siedziałem przy oknie w oczekiwaniu kiedy się zjawi. Był co do minuty. Jak on to robi? Nigdy się nie spóźnia. Energicznym ruchem przysunął mi przezroczysty kubeczek z pastylkami. Biała. Czerwona. Niebieska. Ta ostatnia jest najgorsza, strasznie gorzka, dlatego zawsze zostawiam ją na sam koniec. Gdy tylko wychodzi wrzucam ją do szpary w podłodze.

Nigdy nie lubiłem wody, nie lubię jak coś nie ma smaku, jest nijakie. Jednak teraz piję ją na okrągło i zastanawiam się dlaczego to takie paskudne...

Był zimowy oprószony śniegiem poranek. Termometr za oknem wskazywał ujemną temperaturę. Do tego szalał wiatr, uginając gałęzie drzew i podrywając płatki śniegu do gwałtownego lotu. Może to i ładny widok, ale nie wtedy kiedy masz świadomość, że za chwilę znajdziesz się na zewnątrz, w środku tej całej zimnicy. Jak zwykle zwlokłem się z łóżka z ogromną niechęcią i pretensją do zdobywcy cywilizacji. Kto wymyślił budzik? Czy ktoś zbadał jak wielkie spustoszenie w psychice sieje jego wibrujący, zniechęcający dźwięk? Przecież to oczywiste, że wyrywanie człowieka z błogiego, odprężającego snu mechanicznym jazgotem nie może nieść za sobą nic dobrego. No tak, za dwie godziny miałem siedzieć w ławce na wykładzie z socjoantropologii, ale wszystkie siły natury sprzymierzyły się przeciwko mnie i nie wiadomo czy tam w ogóle dotrę.

Ożywiła mnie filiżanka gorzkiej kolumbijskiej kawy, którą oparzyłem się w język. Mój ból złagodził zimny jogurt, który po małej czarnej smakował wyjątkowo paskudnie. Do tego kalendarz w kuchni wskazywał 15 grudnia...

O nie!!! Znowu zapomniałem o urodzinach Joasi. Do tego nie mam zielonego pojęcia co miałbym jej kupić. Najlepiej futro, czapkę i szalik oraz sanie z zaprzęgiem, bo zima zapowiadała się dość srogo i pewnie da nam jeszcze w kość. Niestety, nie mam zbyt wiele czasu, muszę dziś coś wykombinować. Poczekam do dziesiątej, jak otworzą sklepy. W zeszłym roku dałem jej tomik poezji Baczyńskiego, taki ładnie wydany w twardej okładce, choć była zachwycona, druga książka nie wchodziła w grę. Może coś z bibelotów, bo ubranie odpada. Nie wiem jaki nosi rozmiar i w ogóle te sklepy z fatałaskami przyprawiają mnie o

zawrót głowy. To musi być coś konkretnego, szczególnego, z charakterem, sam nie wiem jeszcze co. Mój zlasowany umysł nic mi nie podpowiedział, ale może po drodze coś mnie natchni.

Już zupełnie się obudziłem, gdy poczułem szczypiący mróz na twarzy. Jak zwykle zapomniałem czapki i po 15 minutach poczułem moje biedne odpadające uszy. Miasto wyglądało już bardzo odświętnie. Właściwie od jesieni w sklepach królowały świąteczne dekoracje. Euforia Bożego Narodzenia ogarnęła handlowców i klientów, nie oszczędzających pieniędzy na świąteczne zakupy. No cóż, mój budżet studencki był skromny, ale za to uczciwie zarobiony na weekendowym dorabianiu w Pizzerii Alfredo. Już nigdy nie zjem pizzy, bo przejąłem się nią tak, że o mało nie pękłem. Do tego odrzuca mnie już sam jej zapach. W każdym razie miałem trochę oszczędności, a w sklepach półki uginały się od towaru. Minąłem papierniczy, AGD oraz księgarnie. Na chwilę zatrzymałem się przed drogerią, ale nie. Kosmetyki? To takie nudne!

Minąłem posąg Wejhera, któremu wyraźnie nie przeszkadzał mróz, bo w przeciwieństwie do mnie, nie miał czerwonego nosa i posiadał nakrycie głowy. Monumentalnie gapił się na rynek i przypadkowych przechodniów, z czarną rozwrzeszczaną wroną na głowie. Prawie byłem gotowy zrezygnować z poszukiwania prezentu dla Joasi, gdy w moim umyśle zaświeciła się zielona lampka, a oczom ukazała się zachęcająca witryna antykwariatu. Tu na pewno znajdę coś oryginalnego!

Uchyliłem duże drzwi i wszedłem do środka, odczuwając dla odmiany błogie ciepło. Rozejrzałem się wokoło. Było tu mnóstwo ciekawych, wiekowych bibelotów, a każdy miał swoją niepowtarzalną historię. Wszystkie miały coś w sobie, jakąś skrywaną tajemnicę, nietuzinkowość, czar. Zegary z rozbujanymi wahadłami patetycznie wskazywały czas, tykając miarowo i wybijając kojący rytm. Jakby były w nich serca. W gablotkach królowały wartościowe i mniej cenne drobne przedmioty z życia codziennego. Jednak moją uwagę przykuły ładnie zdobiona filiżanka ze spodkiem oraz mały medalion, dość mocno szerniały, ale wciąż jeszcze atrakcyjny dla oka. Antykwariusz chwile przyglądał mi się zza koutary, po czym podszedł do mnie.

- Czy pokazać panu tę filiżankę? – Zapytał grzecznie przerywając mój kołowrotek myśli. Spojrzałem na niego. Był bardzo stary, prawie jak te antyki dookoła i świetnie komponował się z całością. Miał na sobie szarą wełnianą kamizelkę, która dobrze współgrała z siwymi włosami i dużymi sumiastymi wąsami. Do tego małe czarne oczy, które żwawo i przenikliwie patrzyły na człowieka.

- Tak bardzo proszę. Faktycznie przykuwa uwagę – rzuciłem pośpiesznie szukając porozumienia mentalnego. Przedmiot był faktycznie bardzo ciekawy. Zdobiony złoceniami i motywami kwiatowymi.

- To bawarska porcelana w stylu art deco – dodał antykwariusz, widząc, że

studiuję filiżankę centymetr po centymetrze.

- Czy jest bardzo stara? – Spytałem naiwnie, bo naprawdę nie znałem się na antykach.

- To okres międzywojenny, lata dwudzieste – odpowiedział skrupulatnie staruszek, świetnie znający się na rzeczy. Pewnie bardzo długo już w tym siedzi. Zacząłem się zastanawiać ile on może mieć lat, ale moje zadumanie przerwały jego słowa:

- Jeżeli pan sobie życzy mogę pokazać jeszcze starszą porcelanę, ale to są już całe serwisy. Ta jedna jedyna jest tylko pojedyncza – dodał życzliwie.

- Nie, dziękuję. Szukam czegoś na prezent dla dziewczyny, ma dzisiaj urodziny. – odpowiedziałem uczciwie, mając na uwadze własne finanse, no i oczywiście okoliczności. Nie będę przecież wyposażał Joasię w komplety porcelany. Chce żeby czuła, że jest dla mnie ważna i że pamiętam o niej.

- A ten wisiołek? – wskazałem na oszkloną gablotkę wyłożoną bordowym aksamitem.

- To medalion, dziewiętnastowieczny, zaraz panu pokażę.

Mężczyzna odkłuczył szufladę i wyjął z niej malutkie cacuszko, ułożywszy je na swojej pomarszczonej dłoni.

- Jest trochę droższy, ale to dobrej próby srebro. Do tego jest bardzo ładny – zareklamował produkt.

- Tak rzeczywiście – przyznałem. Wiedziałem, że to idealny prezent dla Joasi, ale moje wątpliwości budziła mała pomarańczowa karteczka z ceną.

- Czy ta cena nie podlega dyskusji? - spytałem marudnie licząc, że się dogadamy. W końcu i tak nie miałem innego pomysłu ani żadnej alternatywy, ale przecież on o tym nie wiedział. Zresztą sklep nie wyglądał na przepełniony klientami, do tego zbliżały się święta...

- Mogę dla pana obniżyć ją o pięć procent – powiedział i spojrzał badawczym wzrokiem.

- Dobrze, wezmę – potwierdziłem, choć podejrzewam, że jakbym się targował, spuściłby mi więcej. Jakoś nie miałem na to ochoty, a może zwyczajnie nie potrafię.

- Pana dziewczyna na pewno będzie zadowolona – utwierdził mnie w słuszności mojego zakupu ekspedient.

- Na to właśnie liczę – odpowiedziałem z uśmiechem, bo faktycznie ucieszyłem się, że wybrnąłem z tej mojej niepamięci o 15 grudnia.

- Dziękuję. Do widzenia! – rzuciłem na odchodne nurkując ponownie w zimową zawieruchę.

Na uczelnię dotarłem spóźniony, ale i tak nie poszedłem na ten wykład. Nie miałem jakoś nastroju. Zorientowałem się, że muszę jeszcze opakować mój pre-

zent. Na szczęście w uczelnianej księgarni mieli coś odpowiedniego, no i znowu mi się upiekło. Zdecydowałem, że dam jej to wieczorem i zaproszę do jakiegoś klubu. Zostało mi jeszcze parę złociszów. Tak będzie lepiej.

W tłumie opuszczającym salę wykładową dostrzegłem Joasię. Miała pogodną twarz, ładne, regularne rysy, jasne, kręcone włosy i brązowe oczy. Zwróciłem na nią uwagę już na pierwszym roku. Wyróżniała się z tłumu, do tego przepięknie się uśmiechała. Myślałem, że nie mam u niej szans, ale się pomyliłem...

Nie lubię świąt, bo według mnie są one celebrowane z wielką przesadą. Większość zapomina właściwie o co w nich chodzi i tonie w błyszczącym blichtrze ozdób choinkowych oraz nadmiernej konsumpcji. Tak czy inaczej potrzebowałem jeszcze prezentu pod choinkę dla Joasi i pomyślałem, że ta filiżanka z tego antykwariatu to prezent idealny. Poszedłem tam zaraz po wtorkowych zajęciach. Tym razem już nie padał śnieg a do sklepu wiodła odśnieżona dróżka. Gdy tylko pociągnąłem drzwi rozpostarł się dźwięk małych dzwoneczków oznajmiających, że właśnie wszedł klient. Do moich nozdrzy tuż od progu doleciał przyjemny zapach staroci. Antykwariusz wyraźnie mnie rozpoznał, dostrzegłem jakiś inny blask w jego małych czarnych oczach.

- Dzień dobry. Czy ma pan może jeszcze tą bawarską filiżankę ze spodeczkiem, którą oglądałem wczoraj? – zapytałem grzecznie.

- Nie niestety, już ją sprzedałem – odpowiedział staruszek - ale dobrze, że pana widzę – dodał.

Zdziwiłem się słysząc te słowa. „To bardzo miło” – pomyślałem nieświadomy niczego. Gdyby wszędzie tak mnie witano pewnie polubiłbym zakupy.

- Pamięta pan ten medalion, który kupił pan ode mnie kilka dni temu? – zapytał dziwnie zniżając głos i wpatrując się we mnie badawczo. Skinąłem głową, jak mogłem nie pamiętać!

- Otóż popełniłem błąd. Nie powinienem panu go sprzedawać – oświadczył zmieszany i jakoś dziwnie przejęty. Dostrzegłem na jego czole małe kropelki potu. Był jakiś błąd. Do tego wyraźnie bredził.

- Tak? – zdziwiłem się.

- Nie był na sprzedaż – wydukał staruszek, jakby na swych barkach dźwigał ciężar całego świata.

- Nie? – powtórzyłem jak papuga zaskoczony całą tą niecodzienną sytuacją.

- Jego właściciel chce go odzyskać, bardzo mu na nim zależy. Musi pan mi go jak najszybciej zwrócić. Proponuję dwukrotność ceny – spojrzał na mnie tym swoim przenikliwym wzrokiem. - To dobra oferta – podkreślił.

- Rozumiem, ale to niemożliwe... – odpowiedziałem zakłopotany, ale on chyba w ogóle mnie nie słuchał. Był jakiś nieobecny.

- Dobrze, trzykrotność! – rzucił zdenerwowany.

- To niemożliwe, bo ten medalion nie jest już moją własnością – wyjaśniłem zmieszany. Nie lubię tkwić w takich głupich sytuacjach. Przecież był urodzinowym prezentem dla Joasi, nie wyobrażam sobie jak bym miał jej go odebrać.

- To sprawa życia i śmierci! Ten medalion nie jest zwykłą ozdobą... – Wyrecytował jak w transie staruszek. Moje słowa wyraźnie do niego nie docierały, a dalsza rozmowa stawiała się dla mnie coraz bardziej męcząca.

- Niestety, nic już nie da się w tej sprawie zrobić – rzuciłem asertywnie chcąc zakończyć temat.

- Dla właściciela ma szczególną wartość... – Wyjaśnił antykwariusz, zaczynając od nowa swój bezcelowy wywód. Przerwałem mu, bo miałem już wyraźnie dość. Chciałem wydostać się z tego sklepu.

- Przepraszam, ale trochę się spieszę – skłamałem.

- Bardzo pana proszę... – Rzucił za mną antykwariusz już niemal błagalnym tonem. Na szczęście byłem już przy drzwiach.

- Do widzenia – rzuciłem nie oglądając się za siebie.

Jedyną co mi przychodziło do głowy, to słowo WARIAT! Po co w sklepie trzyma coś, co nie jest na sprzedaż. Trzykrotność. Hmm... Kto wie? Może bym się skusił, gdybym nadal go miał.

Właściwie zapomniałbym o tej całej głupiej rozmowie, gdyby nie fakt, że kilka dni później znalazłem w lokalnej prasie anons o zaginięciu tego faceta z antykwariatu. Jego rodzina prosiła wszystkich o informacje i o pomoc w odnalezieniu go. Powiem szczerze, że jak to przeczytałem, przeszły mnie po plecach ciary. Do głowy przyszła mi irracjonalna myśl: Być może jego zniknięcie łączyło się z faktem nieodzyskania medalionu. Może nie był wariatem, tylko stał się ofiarą nacisku, bał się czegoś lub kogoś. To by wyjaśniało nachalność z jaką starał się odzyskać przedmiot!

Po chwili zastanowienia stwierdziłem, że to bez sensu. Całość trochę naciągana. W końcu to życie, a nie powieść Agathy Christie! Może był na coś chory i zabłądził. Pewnie niedługo się znajdzie. Pociężyłem się w myślach, ale ta prasowa wzmianka, mimo wszystko, w jakiś sposób zakłóciła mój wewnętrzny spokój. Przecież parę dni temu widziałem człowieka, rozmawiałem z nim.

Musiałem dowiedzieć się dlaczego ten medalion był dla kogoś taki ważny. Poszedłem do Aśki. Jej mama potraktowała mnie chmurnym spojrzeniem na dobry wieczór. Nigdy mnie nie lubiła. Byłem „nieodpowiedni” dla jej jedynej córki, ukochanej jedynaczki. Pewnie gdybym był porządnie ostrzyżony, nosił okulary i ubierał się mniej awangardowo, miałbym u niej większe szanse na aprobatę. A ja byłem po prostu sobą. W każdym razie przyzwyczaiałem się do niezadowolonego spojrzenia matki mojej dziewczyny i coraz rzadziej zwracałem na nie uwagę.



- Wiesz wiem, że to głupie... ale mam wrażenie... Wydaje mi się, że ktoś mnie śledzi – wyznała Joasia, była jakaś nieswoja.

- Nie? Naprawdę? – spytałem z niedowierzaniem, myśląc, że mi coś wkręca.

- Wczoraj wracając z zajęć wyraźnie czułam czyjeś towarzystwo – oznajmiła. Spojrzałam na nią. Była śmiertelnie poważna.

- Kto to był? Widziałas go? – spytałem zawstydzony swoją wcześniejszą reakcją.

- Nie wiem. Nie, ale... Było już ciemno i miałam niezłego stracha. Pewnie myślisz, że zwariowałam, bo po co ktoś miałby mnie śledzić – powiedziała zakłopotana poprawiając włosy.

- Może znalazłby się powód – powiedziałem pod nosem, ni to do siebie, ni to do niej.

- Tak? Ciekawe jaki? – Zapytała zaintrygowana.

- Pokaż mi ten medalion – powiedziałem stanowczo, poważny jak nigdy dotąd.

- Co z nim nie tak? – zdziwiła się.

- Jeszcze nie wiem – oznajmiłem zgodnie z prawdą – ale dowiemy się. Czy możesz mi go pożyczyć? – spytałem mając na uwadze późną porę i potrzebę zagłębienia się w temacie.

- Jasne – odpowiedziała.

Przedmiot był naprawdę oryginalny. Czułem, że kryje w sobie jakąś tajemnicę, jednak nadal nie potrafiłem tego wyjaśnić. W środku na starej fotografii widniał wizerunek mężczyzny w średnim wieku w ciemnej todze, przynajmniej z tym kojarzyło mi się jego ubranie. Na piersiach miał gruby łańcuch, zwieńczony zawieszka w kształcie trójkąta, w którego wnętrzu znajdowały się krzyż i róża. By je dojrzeć sięgnąłem po szkło powiększające ojca. Właściwie bez niego nie byłbym w stanie ich zobaczyć.

- To musi być klucz! – pomyślałem.

W swoich notatkach ze studiów odnalazłem luźną wzmianką na temat symboli: Krzyż nieodłączny atrybut chrześcijaństwa, od wieków łączył się z wiarą w zbawienie, ale także symbolizował wtajemniczenie. Co do róży było trochę gorzej. Jednak pomocna okazała się tu moja znienawidzona lektura zatytułowana „Gra symboli”. Trochę zajęło mi, zanim znalazłem odpowiedni fragment. Według autora kwiat ten symbolizował piękno, milczenie i tajemnicę, czemu poświęcił opasłe trzy rozdziały, dręcząc czytelnika wodolejstwem i rozwlekłością swojej wiedzy, poprzeplatanej licznymi dygresjami na siłę powiązanymi z tematem. Oba znaki wskazywały na jakąś tajemnicę. Byłem blisko, ale zmęczenie robiło swoje.

Położyłem się do łóżka, jednak długo jeszcze nie mogłem zasnąć myśląc

o moim małym odkryciu. Nad ranem przyśnił mi się koszmar, który nie dawał mi spokoju.

Była noc, a ja jakimś cudem znalazłem się w parku. Księżyc tonął we mgle. Po parkowych alejkach włóczyły się bezdomne wygłodzone psy, które zjawily się tu w poszukiwaniu śmietnikowych resztek. Drzewa straszyły swoimi nagimi koronami. Stada wron krakały robiąc przeraźliwy jazgot. W pewnej chwili dostrzegłem dwa kundły bawiące się jakimś butem. Pomyślałem, że wyciągnę go ze śmietnika, ale jeden z nich odskoczył nagle w krzaki i wtedy zobaczyłem tego człowieka. Właściwie, najpierw jego nagą stopę. Leżał zakrwawiony i wyglądał jakby nie żył. Miał na sobie jasny płaszcz, na którym czerwoną farbą, bądź krwią, wymalowano trójkąt, taki zbliżony kształtem do tego z medalionu. Wystraszyłem się i zacząłem biec. Uciekałem nie mogąc się zatrzymać. Kiedy obudziłem się nad ranem, cały zlany potem, czułem się jakbym faktycznie tam był. Nigdy nie miałem koszmarów... ani nie cierpiałem na somnambulizm.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, odwiedziłem czytelnię akademicką. Muszę tu powiedzieć o pewnym szczęściu. Otóż panował tam dość duży ścisk i żeby w ogóle móc usiąść, dosiadłem się do starszego faceta, obłożonego licznymi pozycjami dotyczącymi tematu masonerii. Dokładnie się mu przyjrzałem, wyglądał na naukowca, jakiegoś doktora habilitowanego lub może nawet profesora. Bibliotekarki skakały przy nim z namaszczeniem, co rusz przynosząc mu jakąś nową pozycję. No cóż, dla mnie były trochę mniej łaskawe, gdy przebieierałem w literaturze nie mogąc natrafić na właściwy trop.

Zrezygnowany zacząłem bazgrać w swych notatkach owy trójkąt z różą i krzyżem w środku, co zwróciło uwagę mojego czytelnianego sąsiada.

- Píše pan na temat Różokrzyżowców? – zapytał zaciekawiony.
- Różokrzyżowców? – wycodziłem zdezorientowany.
- Te symbole mówią same za siebie – potwierdził profesor niezrażony moim dziwnym zachowaniem.
- Na razie zbieram materiały – wyznałem zgodnie z prawdą, trochę zdezorientowany i zaskoczony sugestią tego naukowca.
- Co skłoniło pana żeby zająć się tym tematem? – ciągnął dalej mój zaintrygowany rozmówca.
- Tak naprawdę to zupełny przypadek – odpowiedziałem zbywająco, nie chcąc zagłębiać się w szczegóły. Przecież nie mogłem wszystkim wokoło opowiadać o medalionie, o tym dziwnym starcu i jego zniknięciu oraz moim wewnętrznym niepokojem. Tak naprawdę, gdyby nie ten nieprawdopodobny splot wydarzeń, nigdy nie zainteresowałbym się medalionem.
- Nic nie dzieje się przypadkowo drogi panie – odpowiedział zagadkowo profesor po czym sięgnął po swoje notatki i opuścił czytelnię, dziękując przy

drzwiach zaangażowanym paniom z obsługi.

Może miał rację. Któż to wie? W każdym razie bez względu na to, czy to przypadek, czy przeznaczenie, byłem wdzięczny losowi, że podesał mi wskazówkę.

Następne trzy godziny poświęciłem na studiowaniu dziejów Ruchu Róży i Krzyża. Dowiedziałem się, że ma on charakter tajemniczego, hermetycznie zamkniętego stowarzyszenia. Jego członkowie od wieków zajmują się zgłębianiem tajemnej wiedzy, niedostępnej dla zwykłych śmiertelników, z zakresu magii, znachorstwa, okultyzmu i alchemii. Po narodzeniu Chrystusa i założeniu przez niego Kościoła chrześcijańskiego Różokrzyżowcy zostali jego gorliwymi głosicielami. Jednakże ich rodowód oraz interpretacja zasad wiary chrześcijańskiej spowodowały, że zostali poddani krytyce i zmuszeni do utajnienia swej działalności. Stąd też autorzy książek, które przeglądałem skupili się bardziej na wcześniejszej działalności bractwa, dla współczesnego czytelnika brzmiała ona jednak dość nedorzecznie. Przewertowałem jeszcze parę stron natrafiając na intrygujące zdanie:

*„Do dzisiejszego dnia w poszczególnych krajach działają ich różne odłamy różniące się nieznacznie aspektami doktrynalnymi.”*

Jakoś nie mogłem wyobrazić sobie jaki kształt może przybrać, na przykład, alchemia w dwudziestym pierwszym wieku. To tak jak bym słyszał o kontynuowaniu tradycji zlotów czarownic i czarnoksiężników na Łysej Górze...

Nie miałem bladego pojęcia jak skonfrontować zdobyte informacje z medalem Joasi, poza tym, że dowodził istnieniu Różokrzyżowców jeszcze w dziewiętnastym wieku. O tak! To jedyny logiczny wniosek! Facet z wizerunku musiał być więc jego członkiem, a może nawet kimś ważniejszym. „Ten medalion nie jest zwykłą ozdobą” - w mojej głowie, jak na zawołanie, powróciły słowa antykwariusza. Czy zatem jest? - pomyślałem zdezorientowany.

Kiedy dotarłem do Wejherowa zapadł już zmrok. Wszedłem do klatki kamienicy, w której mieszkałem, ale żarówka na dole chyba się przepaliła. Było ciemno, jednak mimo wszystko udało mi się dotrzeć na półpiętro.

- Ma pan coś co nie należy do niego, prawda? - Padły słowa z bocznej wnęki. Na ich dźwięk wystraszyłem się i aż podskoczyłem w ciemności. Nie wiedziałem, że ktoś tu jest.

- Nie wiem o czym pan mówi - udałem niezorientowanego, kurczowo zaciskając pięści. Serce waliło mi jak młot. Nic nie widziałem. Mogłem jedynie nasłuchiwać i czekać co stanie się dalej.

- Niech pan im to zwróci, oni panu nie odpuszczą - usłyszałem.

- Jacy oni? Kim pan jest? - zawołałem przerażony.

U góry rozległ się jednak hałas otwieranego zamka i szczekanie psa, a mój rozmówca rozmył się w ciemności. Po chwili ktoś z górnego piętra włączył

światło, a na półpiętrze zrobiło się nieco jaśniej. Rozejrzałem się dookoła, ale już nie było nikogo.

W domu czekała na mnie zimny obiad, który posłużył mi za kolację. Właściwie z nadmiaru wrażeń w ogóle nie byłem głodny. Jeszcze raz zerknąłem do medalionu, licząc, że facet ze zdjęcia wyjaśni mi całą sprawę. On tylko gapił się przed siebie, a mnie grunt palił się pod stopami. A więc naprawdę są jacyś ONI.

Moja rodzina w pokoju obok wlepiła oczy w telewizor. No taki urok zimy. Przystanąłem na chwilę przy drzwiach. Właśnie leciały lokalne wiadomości. Prezenter plótł coś o otwarciu jakiejś nowej wystawy muzealnej pod tytułem „Dzieje rodu Wejherów na przestrzeni wieków”. Potem puścili krótką migawkę zachęcającą do zobaczenia ekspozycji.

Nagle poczułem przyływ ciepła, rozlewającego się po moim ciele. W kilka minut cały zdrewniałem. Moje nogi stały się jakieś takie ciężkie, betonowe. Wmurowało mnie. Gdyby nie to, że dzień się jeszcze nie skończył uznałbym, że śnie. Wytrzeszczyłem oczy z niedowierzaniem. Na jednym z obrazów udostępnionych przy okazji tej wystawy dostrzegłem człowieka z medalionu. Wiedziałem, że muszę jak najszybciej się tam znaleźć. Najlepiej jeszcze tego samego wieczoru. Zadzwoiłem do Aśki. Umówiliśmy się na miejscu.

Tym razem miałem przy sobie latarkę i gaz łzawiący, na wypadek, gdyby ktoś zachciało się jeszcze raz robić mi kawały ze światłem.

Dotarłem jako pierwszy, po chwili dostrzegłem jakąś postać w ciemnym kożusku i czerwonej czapce. To była ona, Joasia. Spojrzałem na zegarek, dochodziło w pół do ósmej. Muzeum było już zamknięte. Wkoło migotały latarnie. Pod stopami chrobotał zleżały już śnieg.

- O co chodzi? Wywlekasz mnie z domu żeby pocałować klamkę zamkniętego na cztery spusty budynku? – warknęła wkurzona. Nawet jak się złościła wyglądała ładnie.

- W środku na obrazie jest ten facet – wskazałem na medalion, ale jej twarz ani trochę się nie rozchmurzyła.

- Genialnie! Nie mogłeś z tym poczekać do jutra? – spojrzała na mnie wymownie.

- Nie. To zbyt ważne – odpowiedziałem świadomy, że szkoda teraz czasu na wyjaśnienia

Ten człowiek. Musiałem się dowiedzieć kim był. Ogarnęła mnie jakaś dziwna, nieodparta chęć przeżycia nowej przygody. Rozejrzałem się po budynku w poszukiwaniu jakiegoś rozwiązania. I tym razem los mi sprzyjał, bo jedno z okien piwnicznych nie było dobrze zamknięte.

- Wchodzę tam. Idziesz? – spytałem zniecierpliwiony. Nigdy wcześniej nie wlamywałem się do żadnego obiektu.

- Ty naprawdę zwariowałeś! – rzuciła Joanna, zaskoczona moją determinacją.

Po minucie oboje byliśmy już w środku. Wszędzie było ciemno, ale na szczęście miałem przy sobie latarkę. Świecąc sobie pod nogi wyszliśmy z podziemia i przedostaliśmy się na parter do sali wystawienniczej. Było tam mnóstwo eksponatów związanych z założycielami rodu: ich modlitewniki, dokumenty, akty opisujące majątek i dobra. Jednak nigdzie nie dostrzegłem obrazu, który tak pragnąłem zobaczyć. Nagle uświadomiłem sobie, że tu przecież jest jeszcze jedna sala w głębi. Skierowałem strumień światła przed siebie, rzeczywiście, było jeszcze jedno wejście. Podszedłem tam i otworzyłem delikatnie drzwi, ale one i tak skrzyknęły ze starości.

- Bingo! - pomyślałem.

Tuż przy wejściu wisiał portret znanego mi od niedawna dziewiętnastowiecznego wásacza. Przyjrzałem się mu uważnie. Na tym wizerunku nie wyglądał jak członek tajnego stowarzyszenia. Był ubrany w garnitur i zdawał się być przykładnym obywatelem, może nawet urzędnikiem. Miał w sobie jakąś taką dostojność, wzbudzał szacunek i zaufanie. Poświeciłem niżej na plakietkę z podpisem. Przsunąłem się bliżej by odczytać niewielkie literki:

*„Gustaw Weiher, starosta wejherowski”.*

Nie może być! To naprawdę on! Przez chwilę ogarnęło mnie jakieś irracjonalne szczęście i satysfakcja, że udało mi się dopiąć swego.

- Zobacz, kogo tu mamy – rzuciłem po cichu do Aśki, a ona nachyliła się, by odczytać podpis.

- Gustaw Weiher? – zdziwiła się.

- Wejherowie musieli być członkami stowarzyszenia – stwierdziłem czując, że elementy powoli zaczynają układać się w jedną całość.

- Co takiego? – spytała niczego nieświadoma. Wszystko nabrało takiego rozpędu, nie zdążyłem opowiedzieć jej o tym, czego się dzisiaj dowiedziałem.

- Pewnie stąd róża i krzyż w herbie Wejherowa – uświadomiłem sobie nagle, zdumiony wagą mojego odkrycia. Nie było czasu do namysłu. Gdzieś w oddali usłyszeliśmy jakiś ruch, jakby kroki.

- To chyba portier – wyszeptała mi na ucho.

- Wynośmy się stąd! – zarządziłem, świadomy tego, że musimy wybrać jakąś inną, krótszą drogę ucieczki.

Otworzyłem okno, tym razem nie udało się cicho. Przerażeni faktem nakrycia nas, wyskoczyliśmy w pośpiechu, najpierw ona, potem ja. Niestety, zaczępiłem o coś kieszeni kurtki i w jej miejscu został mi podarty, wiszący flak. No cóż, uratowaliśmy skórę, ale moje okrycie wymagało wymiany. Przyływ adrenaliny zrobił swoje, nigdy wcześniej tak szybko nie biegłem.

Zatrzymaliśmy się dopiero kilka przecznic dalej, przed jakimś klubem. Za-proponowałem żebyśmy weszli. Musieliśmy odpocząć, wyrównać oddech, a przede wszystkim pogadać.

- Jeszcze raz a dostanę zawału – skomentowała nasze szaleństwo Aśka.

- Wiesz... Ten facet... Ten medalion...- Zacząłem się motać nie wiedząc od czego zacząć

- No wyduś to z siebie – ponagliła mnie zniecierpliwiona.

- Gustaw Weiher był członkiem tajnego stowarzyszenia, które najprawdopodobniej działało tu w XIX wieku. Nazywano ich Różokrzyżowcami, od róży i krzyża, symboli jakimi się posługiwali. Ten medalion jest dowodem na to, że wpływowy człowiek, wysoki urzędnik państwowy był członkiem sekty. Wszystkiego do końca nie rozumiem... W każdym razie komuś bardzo zależy na odzyskaniu tego przedmiotu... Nie chciałem cię niepokoić, ale już dwukrotnie próbowano wymusić na mnie jego zwrot.

- Co takiego? – otworzyła usta ze zdumienia.

- Wiem, że to zabrmi dziwnie, ale to stowarzyszenie chyba dalej istnieje... W każdym razie ktoś chce, żebym tak myślał – wyznałem.

Spojrzałem na nią, była zmęczona, zdezorientowana i chyba przerażona tym, czego się ode mnie dowiedziała. W kołowrotku myśli sam już nie wiedziałem w co mam wierzyć. Odprowadziłem ją do domu, pod same drzwi, po czym udałem się do siebie.

Przechodząc koło rynku, dostrzegłem w antykwariacie małe światło, wcześniej było tam ciemno. Pomyślałem, że pewnie antykwariusz już się odnalazł i teraz nadrabia stracony czas, grzebiąc w tych swoich pięknych antykach.

Rano uświadomiłem sobie, że nie mam portfela. Pewnie wypadł mi gdzieś przez tą rozdartą kieszeń. Nie było w nim za wiele, może jakieś 50 zł, ale miałem go już bardzo długo i zdążyłem się do niego przyzwyczaić. Swoje poszukiwania postanowiłem zacząć w okolicy pałacu Przebendowskich. Tam rozerwałem przecież kurtkę.

Nim dotarłem na miejsce, moją uwagę przykuło zbiegowisko w parku. Zdziwiłem się, co tyle ludzi robi tam o tak wczesnej porze. Zwykle jest pusto. Podszedłem bliżej i dostrzegłem jeszcze kilku policjantów. Krzątali się nerwowo, próbując okiełznać tłum. Dołączyłem do grupy gapiów, ale nie za wiele udało mi się zobaczyć.

- Co się stało? – zaczępiłem jakąś panią w zielonym płaszczu.

- Jakiś trup - odpowiedziała kobieta.

- Mężczyzna? – zapytałem zdziwiony, chcąc się czegoś bliżej dowiedzieć. W końcu, pierwszy raz przydarzyło mi się coś takiego. Do tej pory trupy były dla mnie nieodzowną częścią fabuły kryminałów lub moich nocnych koszmarów, a

nie rzeczywistością.

- Tak. Okropny widok – skomentowała ta sama pani.

- To ten zaginiony – dodał niski pan z łysinką – prowadził antykwariat parę ulic dalej.

Zrobiło mi się słabo. Poczułem jak cała krew z twarzy, rąk i tułowia odpływa gdzieś do stóp. On naprawdę nie żyje! Mój sen stał się jawą! Zginął przecież w tym samym parku, dokładnie tak samo jak ten, który mi się przyśnił.

Musiałem się zachwiać, bo kobieta, z którą przed chwilą rozmawiałem chwyciła mnie pod ramię

- Słabo panu? – zwróciła się do mnie z troską w głosie.

- Trochę – wycedziłem przez zęby.

- Znał go pan? – spytała zaciekawiona.

- Można tak powiedzieć. Coś u niego kupiłem jakiś czas temu – odpowiedziałem.

- Proszę nie utrudniać nam śledztwa! Proszę się odsunąć! Rozejdźcie się! – krzyczał policjant w stronę gapiących się bez sensu ludzi, próbując rozluźnić ciasny krąg.

- Niech pan nas nie pcha. Temu panu zrobiło się słabo. Znał ofiarę – rzuciła w stronę zdziwionego funkcjonariusza kobieta.

- Czy to prawda? - zapytał policjant spoglądając na mnie podejrzliwie.

- Można tak powiedzieć. Byłem klientem antykwariatu, który prowadził.

- Pojedźcie pan z nami, potrzebujemy jak najwięcej informacji na temat denata – skwitował funkcjonariusz.

- Nie za wiele wiem, ale dobrze – zgodziłem się potulnie.

W końcu ktoś musiał przerwać tę znowę milczenia. Morderstwo starca nie było przypadkiem. Postanowiłem, że opowiem temu policjantowi, o medalionie, o moim śnie, o Różokrzyżowcach, o próbie zastraszania mnie przez dziwnego typa, który ulotnił się jak kamfora. Poczułem obywatelski obowiązek objawienia prawdy w imię sprawiedliwości i praworządności. Chciałem pomóc policji w znalezieniu winowajców. Wszystko było dość oczywiste, bo podpisali się przy zwłokach antykwariusza. Ten trójkąt – symbol wniebowstąpienia dowodził bezsprzecznie, kto stoi za tym wszystkim. Nie miałem już żadnych wątpliwości. Musiałem działać.

- A więc kupił pan medalion tajemnego bractwa? – zdziwił się policjant, jakby oczekiwał ode mnie, że powiem coś innego.

- Tak – potwierdziłem, ale czułem w powietrzu jego niechęć.

- Różokrzyżowców? – powtórzył niby to chcąc się utwierdzić

- Tak, Różokrzyżowców.

- Może pan go pokazać? – zapytał wciąż jeszcze sceptyczny i nie dający wiary w moją przedziwną opowieść.

- Oczywiście – oznajmiłem i chwyciłem za moją rozerwaną kieszeń. Zorientowałem się, że ostatni raz oglądałem go tego wieczoru, jeszcze przed włamaniem się do muzeum. Gorączkowo zacząłem macać się po pozostałych kieszeniach kurtki, ale medalion musiał być w tej nadszarpniętej.

- Chyba go zgubiłem – oznajmiłem skruszony i wkurzony na siebie, że straciłem najważniejszy dowód w sprawie.

- Gdzie pan był wczoraj między godziną 19.30 a 23.30? – zapytał ni stąd, ni zowąd.

- Najpierw byłem z moją dziewczyną, potem wróciłem do domu rodzinnego i tam przebywałem do dzisiejszego ranka – odpowiedziałem wymijająco, nie chcąc przyznawać się do naszego małego niecnego występku, przekraczającego margines prawa. Przecież i tak nie miało to żadnego znaczenia dla sprawy. Nic takiego nie zrobiliśmy, chcieliśmy tylko zobaczyć ten cholerny obraz. Nie chciałem żeby dowiedzieli się o włamaniu. Ten gliniarz i bez tego był jakiś nieufny.

- Gdzie pan sobie tak zniszczył kurtkę? – spytał z niekłamana ciekawością, oczekując co odpowiem. Chociaż sprawiał wrażenie, jakby z góry znał odpowiedź

- Zahaczyłem o poręcz – skłamałem, ale on mi nie uwierzył.

- Czemu pan pojawił się dziś w parku? – ciągnął dalej z uporem maniaka.

- Zgubiłem portfel – odpowiedziałem zdenerwowany i zniecierpliwiony tym wypytywaniem.

- Ten portfel? – spytał z ironią w głosie, wyjmując moją własność, zapakowaną w plastikowy worek. - Znaleźliśmy go dziesięć metrów od ciała – oświadczył z tryumfem w głosie, jak Sherlock Holmes ujawniający tajemnice morderstwa.

Policjanci nie uwierzyli w moją wersję wydarzeń. Ich zdaniem zbyt wiele wiedziałem o ułożeniu ofiary i znaku. Zabiłem antykwariusza, ponieważ jestem niespełna rozumu. Do tego wymyśliłem niedorzeczną historię o Różokrzyżowcach. No i jeszcze mój portfel odnalazł się w niefortunnej scenerii zbrodni. Nie mam pojęcia skąd się tam wziął, ale to pograżyło mnie do reszty. Jedynek człowiek, który mógłby mi pomóc i potwierdzić istnienie sekty nie żył, a medalionu nikt nigdy nie odnalazł.

Kryłem Aşkę, bo nie chciałem jej w to mieszać. To ja dałem jej ten feralny prezent i namówiłem ją na wieczorną eskapadę muzealną. Poza tym jej mama, zgorszona moim zatrzymaniem i oskarżeniem, odseparowała nas od siebie, wywołując ją do jakiejś ciotki na południe.

Cały proces był farsą. Wszyscy wszystko wiedzieli lepiej ode mnie. Sędzina



od początku była do mnie niechętnie nastawiona. Właściwie już po trzeciej rozprawie wiedziałem, że nie jest dobrze. Moje zeznania wzbudzały ogólny śmiech na sali, tak jakbym opowiadał im jakiś dobry kawał. Tym czasem stawką było moje przyszłe życie, przed którym roztaczała się wizja krat. W każdym razie bardzo chciał tego mały, łysawy grubasek, oskarżyciel, reprezentujący rodzinę ofiary, który za wszelką cenę zamierzał dopiąć swego. Nie wiem czemu upatrzyli sobie właśnie mnie.

- Tajny spisek jest wymysłem pańskiej chorej wyobraźni! – Grzmiał rozjuszony prokurator.

Moje argumenty, zeznania, wyjaśnienia, nie trafiały do rządnej zemsty publiki. Było zabójstwo musiał znaleźć się też morderca. Nic innego nie miało znaczenia.

Adwokat reprezentujący mnie w czasie procesu wydawał się być zadowolony z zakończenia sprawy. Groziło mi przecież dożywocie, no może w wersji optymistycznej, na podstawie artykułu siedemdziesiątego ósmego, paragraf trzeci, warunkowe przedterminowe zwolnienie po dwudziestu pięciu latach odsiadki. Życie pisze jednak własne scenariusze i jakimś cudem udało się tego uniknąć.

Biegły psycholog orzekł, że nie mam poczucia rzeczywistości. Stanowię zatem zagrożenie dla otoczenia i wymagam odseparowania od reszty społeczeństwa. Mój mózg nie odróżnia tego, co faktycznie ma miejsce, od własnych projekcji. Innymi słowy wymagam terapii farmakologicznej w zamkniętym ośrodku dla umysłowo chorych...

Wierzcie lub nie, tak oto z dnia na dzień stałem się wariatem. Teraz siedzę na łóżku bawiąc się pastylkami, jedynym kolorowym akcentem w mojej białej, hermetycznej rzeczywistości. Co jakiś czas zerkam przez okno, choć nie widzę tam nic, poza ogrodem pełnym kolczastych róż.

Nie liczę już dni przeleżanych na szpitalnej pryczy, nawet nie wiem jak długo tu jeszcze będę. Wiem jednak jedno, nie warto ślepo poszukiwać prawdy, bo to co nieodkryte i tak pozostanie w ukryciu.

***Lucyna Kurpiewska***

## **„Mont Blanc”**

Kiedy ukończyłam sześć lat, z monstualnym podnieceniem oznajmiłam matce, że zamierzam zostać księdzem.

- Będę miała dużą dębową szafę wypełnioną najdłuższymi i najczarniejszymi sukniami świata. Kupię sobie najgrubszą książkę w złotej oprawce z bajkami o Jezusku. A potem odjadę na misję do Afryki. Przeczytam tę księgę wszystkim murzyńskim dzieciom. Odkryję nieznanne dotychczas piramidy i poprzemieniam je na świątynie – trajkotałam niczym szczebiotający pisklak na baterie.

Z każdym wypowiedzanym kolejno słowem entuzjazm, zachwyty, rozgorączkowanie wrzały w moich kuleczkowatych ślepiach, smarkatym jeszcze spojrzeniu. Matula zerknęła pochmurnie na rozchylaną szeroko gębusię, skrzywiła drżące usta, po czym wściekle zakryła dłońmi twarz. Zaczęła płakać. Próbowwała ukryć łzy, jednak kryształowe kropelki wylewały się spomiędzy smukłych palców, ściekały po nosie, wargach, a także brodzie, malując wilgotne ścieżki na skórze. Z podbródka skapywały ku lawendowej sukience, pozostawiając wilgotne kleksy. Opuszczając podgardle, przez tę krótką chwilę, kiedy przelatywały w powietrzu, wyglądały niczym lśniące drobinki potłuczonego szkła, lustrzane klejnoty, które chciałoby się nawlec na sznurek.

Nie pojmowałam, dlaczego mama wciąż rozlewała łzy. Z powodu mojego śmiałego wyznania czy też harmidru, jaki zgotował jej ojciec, stękając nieznośnie pod nosem, wybąkując co jakiś czas odpychająco brzmiące wyrazy, wyrzucając wszystkie swoje ubrania oblegające szafki, wysypując wszelkie ozdoby półek na podłogę; szarpiąc, energicznie wymachując tym, co tylko leżało pod ręką i wrzucając niektóre wyłapano z tłumu obiekty do ogromnej walizki. Nigdy nie widziałam tak wielgaśnego kufra. Był gigantyczny, wręcz kolosalny. Żywiłam przekonanie, że wlażyłyby do niego cztery dziewczynki takich rozmiarów jak ja. Wszystkie musiałyby przykucnąć lub najlepiej zwinąć się w precelki na leżąco, i to ciasno jedna obok drugiej. Ponieważ tatunio miał tylko jedną córeczkę, a nie cztery, miejsca wewnątrz walizki byłoby dla mnie w sam raz. Podbiegłam do ojca.

- Tatko, wpakuj mnie też! – krzyknęłam, pozerając swoim cielecym wzrokiem papcia oraz delikatnie zezując wybałuszone oczęta. „Po tym teatralnym

spojrzeniu na pewno mnie weźmie”, pomyślałam. Przeliczyłam się. Takim łązowym, wręcz spiałym wyrazem buźki dzieci potrafią wymuszać od rodziców jedynie zabawki, drobnostki rozniecające stan błogiej radości wewnątrz wiotkich ciałek. Chciałam wycisnąć coś znacznie bardziej okazałego; coś, co było niemożliwe do osiągnięcia innymi, nawet najbardziej popisowymi zabiegami. W tym momencie już obcy dla mnie mężczyzna przeniknął napastliwym spojrzeniem mój skromny organizm na dosłownie pięć krótkich sekund.

- Zabierz ją stąd! Mont Blanc nie jest dla smarkatych! – zagrmiał rozdrażniony ojciec, po czym z jeszcze większym podenerwowaniem zaczął finalizować mistrzowsko zagraną rolę zimnego drania, który doprowadził do płaczu moją matkę. Teraz już byłam pewna, że te łzy ciekły za jego przyczyną.

Matka zerwała się z krzesła. Nie ocierając nawet przemokniętych policzków, zwilgotniałych powiek, wciąż przesiąkniętych łzami oczu, podbiegła do mnie. Zwinnym ruchem ręki pochwyciła klatkę piersiową, zaczepiając sztywno wyprostowaną kończynę pod drobnymi pachami. Nim się obejrzałam, już stałam na kuchennej podłodze. Zdażyłam się obejrzeć, i to całkiem dokładnie. Łypnęłam wzburzone oblicze ojca zaledwie mrugnięciem oka. To mgnienie wystarczyło, aby zapamiętać poirytowane spojrzenie pary szeroko rozwartych piwnych oczysk, nieznacznie rozchylone w gniewie wargi, zarysowane wzdłuż policzków dwie głębokie bruzdy budujące pajęczą sieć nierówności na czole, subtelnie widoczny zarost. Było coś jeszcze. Wydawało mi się, że w odurzonych wściekłością ślepiach dostrzegłam drobinę zasmucenia, cierpienia, żalu. Tak, jakby złość przysłaniała całe zgnębienie. Ale to pewnie tylko moja dziecięca dalekowzroczność. Dziewczynki niejednokrotnie wmawiają swojemu rozumkowi upragnione przeżycia, urozmaicając malowaną wszelkimi odcieniami szarości, niekiedy naprawdę przygnębiającą rzeczywistość.

Porzucona w kuchni stanęłam na bijącej zimnem kaflowej podłodze. Zadowolona z obserwacji babci oraz dziadka, którzy urządzili sobie maraton. Dreptali w tę i w ową, okrążając stół jadalny raz po raz. Nawet nie zauważyli, kiedy przekroczyłam próg pomieszczenia. Kunsztownie oddali się maszerowaniu, jakby chcieli zdeptać każdy niepokój, zostawić za sobą wszystkie obawy, uciec przed tym podążającym za nimi lękiem, strząsnąć z nóg zdenerwowanie. Tak przeciągle i zwawo przechodzili kolejne rundy, że aż od entych przemierzanych przez dziadków okrążeń cała przestrzeń dokoła mnie zaczęła wirować. Kolorowe wzory powlekające ściany mieszały się, rysując jedną potężną tęczę. Okazały stół coraz to zwinniej kołysał drewnianymi nogami, jakby zaraz miał uciec w popłochu, zakłócając tym samym wyścig pary staruszków. Krzesła wykonywały mistrzowskie piruety. Wszystkie dzbanki dwoiły się, troiły, podlegały procesom błyskawicznego rozmnażania. Talerze pośpiesznie wstawały, po czym leniwie opadały. Zerknęłam na kran. Drżał. Nie wiedziałam

tylko, czy z zimna, strachu przed kolejnym wysiłkiem podejmowanym podczas wydobywania wody, a może poruszenia całym tym współzawodnictwem, jaki zgotowali sobie dziadkowie. Mój wzrok zawisł na prześcigającej się parze. Wciąż trwali w swoim rajdzie. Zaczęłam nawet rozmyślać, komu kibicować. Babcia chyba wykonała więcej okrążeń. Choć nie byłam pewna swoich przypuszczeń. Najwidoczniej na skutek tego, że stół kuchenny był okrągły, zatraciłam zdolność rozpoznania, kto prowadził. Czy to ona śpieszyła za nim, czy to on kroczył za nią?

Gorliwie ułożyłam swój wzrok ponownie na kranie. Wpatrywałam się weń wnikliwie, wręcz wytrzeszczyłam gały. Nadal przechodził swoje zagadkowe konwulsje. Nie spuszczałam go z oczu. Zatopiłam spojrzenie w obiekcie obserwacji, jakbym zamierzała wstrzymać drgania, unieruchomić przedmiot siłą wejrzenia. Cały trud umysłu na nic! Wystraszyłam się. Przetarłam półprzyknięte powieki. Kolejny raz próbowałam zawadzić ślepiami o kurek. Nawet nie odnalazłam przedmiotu w tej otaczającej mnie mgle. Przez przemoknięte łzami źrenice calutki obraz był zamazany. Przejęta panującą sytuacją zaczęłam płakać. Wydałam z siebie upiorny jazgot wspomagany przeraźliwym pojękiwaniem. Paraliżujące skamlenie zostało wzmocnione rytmicznym tupotem bucików. Makabryczna całość brzmiała gorzej niż kocia muzyka nocą. „Co to w ogóle jest to mounte blanke, czy jak to tam się wymawia, ten cały Mont Blanc? Cemu wokół tego tak wiele krzyku? O co tyle zachodu?“, pomyślałam wstrząśnięta.

Moje łkanie przerwał przeciągły maraton. Dziadkowie wreszcie się zatrzymali. Ośłupiałym wzrokiem ogarnęli sterczącą beczynnie płakse. Zaskoczeni chyba nie bardzo wiedzieli, jak zareagować. Chłonący spojrzeniem zalaną łzami jazgotliwą wnusę trwali tak w bezruchu przez blisko minutę, po czym niejasno zerknęli na siebie, jakby jedno drugiego zamierzało wypytać, jakim sposobem zaradzić temu zgiełkowi, który do nich przylazł. Pokażny zegar naścienny musiał wydobyć kilkadziesiąt tyknięć, zanim podeszła babcia. Mocnym gestem przyciągnęła moje zeszywniałe ciało do siebie. Silnym, ciepłym, czułym objęciem złagodziła rozżalenie, przygłuszyła skowyt, uciszając na dobre pojękiwanie. Kruchą dłonią pogładziła splecione w warkocz włosy, jakby zapragnęła tym przyjemnym ruchem strzepnąć wszystkie smutki, strącić niepokój ze zmarzwionej głowy, pozrzucać każdy strach.

- Będzie dobrze. A teraz już ciiii... – wyszeptała. Wiedziałam, że rzuciła niewinne kłamstewko tylko po to, aby mnie uspokoić. Byłam drobną, niepozorną, rozmarzoną, lubiącą figle-migle, tracącą kontakt z rzeczywistością w chwilach harcowania, często postępującą niemądrze dziewczynką, ale mogę zapewnić, że mimo posiadania dziecięcego rozumku, nie byłam naiwna, frajerka, ani też ślepa. Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, iż wcale nie będzie

dobrze. Nic już nie będzie, jak dawniej. Już nigdy nie usłyszę historyjek o rozbójnikach morskich, walecznych rycerzach, gangsterskich porachunkach, tajnych agentach, żołnierskich wyprawach opowiadanych przed snem przez ojca. Nikt mnie nie ułoży tak wysoko ponad innych na tak krzepkich ramionach podczas przedzierania się poprzez tłumy obrastające ogromną powierzchnię gwarne go targowiska. Nie usłyszę tego zachrypłego „maleńka” unoszonego z wnętrza biblioteki wraz z przyjemnie pachnącym czereśniami dymem cygarowym; przenikającego przez wszystkie drzwi, ściany, a także okna naszego domu; docierającego nawet do ogródka czy też piwnicznych zakamarków. Przenigdy nie odnajdę wśród porzucanych na dywanie tatusiowego gabinetu fragmentów malowniczej układanki smakowitych czekoladowych słodkości. Żaden mężczyzna po trzydziestce nie zdoła zrekonstruować tak dobrze odegranej roli ojca.

Uzmysławiając sobie, jak sporo mnie wyminie podczas przechodzenia pozostałości dzieciństwa bez udziału taty, poczułam głębokie ukłucie w klatkę piersiową. Otworzyłam powieki tak szeroko, jak tylko mogłam. Wytrzeszczyłam zażawione oczy. Rozwarłam wargi, wyłapując do płuc tyle powietrza, ile podołały zmieścić. Pызate policzki momentalnie zostały otulone purpurowym rumieńcem. Energicznym uściskiem obtoczyłam babcię patyczkowatymi rączkami. Mocno wtuliłam się w babcini sukienkę. Poluzowałam chwycenie dopiero wtedy, gdy wewnętrzne rwanie przestało doskwierać bólem, rzęsiste powieki swobodnie opadły, usta pozostały zamknięte. Słone krople wypłynęły na zewnątrz. Onieśmielony dziadek ugrzązł w odrętwieniu. Bacznie monitorował całą scenę, ale za nic nie zadeklarował się zostać jej uczestnikiem. Świdrował nas wzrokiem z niewyczerpanym zaciekawieniem bez krzty jakiegokolwiek reakcji. Jakie to typowe dla mężczyzn. Potrafiliby pozostać niewzruszeni, choćby wszystkie kobiety ich życia biadoliły, lamentowały. Nawet gdyby już się topiły zalane własnymi łzami, te barany wciąż grzęzłyby tak w bezruchu. Zastwardziali bezdusznicy!

Od chwili wyprawy ojca na Mont Blanc więcej czasu spędzałam z dziadkami. Edukowali mnie w wielu interesujących i całkiem przydatnych dziedzinach. Szachy pozwoliły rozwinąć dojrzewający umysł. Ta królewska gra tak wciągała, że potrafilismy rozegrać kilkanaście pojedynków na drewniane figurki w ciągu jednego wieczora. Poker upoważnił do zaimponowania rówieśnikom już podczas przechodzenia pierwszych klas liceum. Byłam jedyną dziewczyną, która znała każdy mistrzowski ruch tej gry. Powalałam chłopaków na kolana w trakcie karcianych potyczek. Podkradane z wielkogabarytowej półki powieści kryminalne dziadka wykształciły pomysłowość, kreatywność, wynalazczość, błyskotliwość. Dzięki książkom potrafiłam fantazjować, układać wewnątrz głowy rozmaite historyjki, a potem przeżywać je oczami wyobraźni, wymyślać się do wzniesionego dzięki marzeniom światka pełnego przygód. Oglądane przed-

potopowe babcine romansidła zmiękczały okaleczoną duszę. Były prawdziwymi wyciskaczami łez. Uprawniały do bezwstydnego uzewnętrzniania wszelkich zakumulowanych żalości, przygnębień, smutków. Odkryły tajniki relacji męsko-damskich czy raczej damsko-męskich (w końcu to powieści stworzone dla kobiet). Pasjans, którego nauczyła układać mnie babcia, pozwalał znosić chwile samotności, przenosząc cały intelekt na pokryte nadrukiem kartoniki, jednocześnie nie zakłócając umysłu jakimikolwiek frasunkami. Co więcej, pierwsze piwo chlapnęłam prosto ze szklanej butelki, ciesząc się łagodnym towarzystwem dziadka, przesiadując na werandzie w jedną z tych letnich gwieździstych nocy.

Mamę widywałam rzadko, a ojca już nigdy nie spotkałam. Pamiętam także, że przez najbliższe trzy lata matula unikała kościołów jak ognia. Wszelkie kaplice wymijała szerokim łukiem. Mnie również zabroniła do nich wchodzić. Chyba wystraszyła się tego, co jej naopowiadałam na temat mojego przyszłego zawodu. Choć myślę, że tak naprawdę zatraciła wiarę w Boga. Zapodziała gdzieś całą nadzieję. Zamiast szeptać podczas wieczornego pacierza modlitwy o lepszą przyszłość, wolała boleć nad potwornością ostatnich chwil przeszłości. A kiedy postanowiła się podnieść, to chciała odtworzyć szczęście własnymi gołymi rękami, bez pomocy nieba, dyskretnego powierzenia wyszeptywanych myśli aniołom, wznoszenia małych symbolicznych ołtarzyków domowej roboty. Udało jej się. Osiągnęła sukces. Cały wymyślony przez nią scenariusz został urzeczywistniony. Szkoda tylko, że autorka wymarzonej ramówki nie przewidziała chociaż niewiele znaczącej roli dla mnie.

Pomału zaczynałam odczuwać samotność, doświadczać alienację ze strony tej najważniejszej dla mnie osoby. Najpierw spędzałam u dziadków tylko weekendy. Potem do dwóch ostatnich dni tygodnia doszły jeszcze poniedziałkowe, środowe i piątkowe wieczory. Po jakiś trzech miesiącach przebywałam poza domem w każde popołudnie bez wyjątku. Własny pokój zaczął przypominać regularnie odwiedzane pomieszczenie hotelowe, a moje łóżko zyskało miano najczęściej zabawianego miejsca. Ostatecznie po przeminięciu blisko czterech miesięcy na dobre wyprowadziłam się z domu. Zamieszkałam u dziadków. Dostałam własny pokoik. Swój mały kącik. Nie był tak ładny ani też tak duży, jak ten poprzedni. Jednak miał inne uroki, których brakowało tamtemu, a którymi zaczęłam zachwycać się wraz z upływem kolejnych miesięcy. Okno było osadzone naprzeciw zachodowi słońca. Każdego wieczora, gdy ta dająca światu odrobinę swojego ciepła i światełka gwiazda uciekała za pagórek, pomarańczowe smużki wpadały przez pajęczę firanki, okrywając przyciemnioną jasnością wszelkie zakamarki. Dawniej żywiłam przekonanie, że słońko tkwi na niebie nieustannie, całą dobę. Rozpromienia dzień, a nocą zaszywa się pod kołderkę, przybierając jednocześnie postać księżycy. Sporadycznie zostaje otulone wy-

łącznie przewiewną kołderką. Wtedy właśnie mamy tak zwaną profesjonalnie pełnię. Niekiedy kłębią się wokół niego pierzaste chmury, zakrywając do połowy lśniącą tarczę. Czasami słończko tak lodowacieje osamotnione na sferze niebieskiej, że zziębnięte gęsto piętrzy wokół kulistych kształtów puchate obłoki. Wówczas wszyscy mówią, iż nastał nów. Od kiedy zaczęłam podpatrywać zachodzące słońce, uzmysłowiłam sobie fikcyjność własnej teorii. W jednym miejscu dębowe deski ułożone na podłodze dźwięczały niczym stłumiony płacz skrzypiec czy jęknięcie struny zawsze wtedy, gdy tylko postawiło się między drewnianymi stopę, zaledwie palec od nogi. Początkowo próbowałam wymijać krzykliwe punkty posadzki. Z czasem polubiłam to muzykalne skrzypienie ulatujące po całym wnętrzu. Zazwyczaj umyślnie dociskałam brzmiącą strefę. Babcia narzekała, że trzeba jakoś podreperować pobrzmiwające miejsce, położyć dywan lub zakleić specjalną szybko schnącą papką szczeliny między deseczkami. Jednak zawsze udawało mi się odciągnąć dziadka od podejmowanych wysiłków zmierzających ku uciszeniu drewnienek. Rychło doceniłam dość okazałe lustro wiszące na ścianie zamiast barwnego pejzażu. Gdy tylko podrosłam, nabiłam się niespotykanej dotychczas żądz podpatrywania siebie, swojej twarzy i każdej jej części z osobna, zielonych oczu, długich kruczoczarnych rzęs, gęstych brwi, szczupłego piegowatego noska, pełnych ponętnych warg. Jednak nie kończyło się tylko na oglądaniu buzi. Po jakimś czasie zaczęłam chłonąć wzrokiem całe ciało. Zbyt duża szafa przesiąknięta wonią słodkich wiśni mieściła coraz to bardziej liczne grono sukienek, spódniczek, bluzek, sweterków, płaszczy i wszelkich innych przyodziewków powiększających swoje rozmiary w zaskakująco szybkim tempie.

Mając dziesięć lat, zrozumiałam, jak wielką gafę popełniłam na swojej drodze życiowej, snując plany dostąpienia święceń kapłańskich. Po pierwsze, w czerni nienajlepiej wyglądałam. Prawdę mówiąc, prezentowałam się koszmarnie, przeokropnie, niczym upiorna postać z filmów grozy. Po drugie, szybko sobie uświadomiłam, iż nie zdołałabym nawrócić całej Afryki, gdyż jest ona zbyt rozległa, a czytanie tak grubej Biblii kilku napotkanym Murzynkom zajęłoby mi zdecydowanie za dużo czasu. Na co komu realizacja misji niemożliwej do wypełnienia. Jasne, podróż wzdłuż i w szerz drugiego pod względem wielkości kontynentu brzmi porywająco, ale bezcelowa, bezużyteczna, prowadząca donikąd tułaczka wydaje się mało nęcąca. Po trzecie, najważniejsze, zakazane by mi było pokochać kogokolwiek innego niż Boga i te afrykańskich ciemnoskóre dzieci, przeżyć wyrwaną z babcinych romansideł miłości. Poza tym, jak się później dowiedziałam, kobieta nie mogłaby zostać księdzem, ani też papieżem. Skąd w takim razie zrodziło się we współczesnym społeczeństwie wychwycone przeze mnie niechęć podczas podsłuchiwania zatwardziałej konwersacji dwóch kobiet nazywających siebie „feministkami” takie pojęcie jak „równoupraw-nienie”?

Już w podstawówce rozsmakowałam się w pierwszym zauroczeniu. Mimo przemknięcia tylu wiosen, premierowe uczucie na zawsze pozostało wśród moich wspomnień. Miał na imię M. Bardzo lubiłam to imię. Nadal je lubię. Choć nie mam ochoty zdradzać nikomu żadnego imienia. Swojego również nie. Cenię sobie prywatność. Omijam narodziny wszelkich plotek, szczególnie gdy mogłyby dotyczyć mojej osoby. Rozgłosu także nie potrzebuję. Swoją drogą na co komu takie nazwy. Wkrótce po przełknięciu tej lapidarnej historii mojej podróży, każdy czytelnik pośpieszy swoją drogą. Podążając niezliczonymi, zarówno tymi już wydeptanymi (życiorysy lubią się powtarzać, dopadając nowych śmiertelników), jak i przemierzanymi pierwszy raz ścieżkami, zaledwie po kilku krokach pozapominają, o kim była ta opowieść, czego dotyczyła jej treść, w którym miejscu zawiązała swój początek, a w jakim dojrnęła do końca. Tylko ja wciąż będę pamiętać, przypominać sobie nieustannie, przeżywać powtórnie podróż po mapie wspomnień.

Wracając do tego M, polubiłam go już od pierwszego szarpnięcia za mój długi warkocz. Każde pociągnięcie zamiast rozdrażniać, przyprawiało mnie o wesołość; zamiast bolesnego darcia odczuwałam całkiem przyjemne muśnięcie; zamiast krzywić twarz w grymaśny szloch, układałam na niej tajemniczy półuśmiezek. Kiedyś obiekt moich westchnień zagroził, że obetnie mi kilka loków, a potem splecie zdobyte kosmyki, zwiąże satynową wstążką oraz powiesi nad łóżkiem. A wszystko to po to, aby mógł śnić o naszych wspólnych igraszkach i przy okazji też ciągnąć za włosy, nawet gdy zabraknie mnie przy nim. Nikt jeszcze nie wypowiedział podobnie romantycznych słów w mojej obecności. Najchętniej sama skróciłabym sobie czuprynkę oraz wręczyła pukiel niedojrzałemu adoratorowi. Jednak wtedy straciłoby to już swoją niezwykłość, czar, uczuciowość.

Kiedyś podczas podwórkowych harców z innymi dziećmi M podbiegł do mnie, silnym ruchem obu dłoni pchnął w klatkę piersiową tak mocno, że upadłam na trawnik. Bystro pochylił się. Przykucając, wydobył swoje zagraniczne kolorowe pisaki pochowane wewnątrz dziurawych kieszeni. Przyozdobił moją bluzkę, lewy policzek i czoło różnobarwnymi malowidłami. Różowy przyodzievek z rysunkiem białego puchatego króliczka obsmarował czerwonymi, niebieskimi, fioletowymi serduszkami. Na twarzy wykreślił zielono-żółte kwiatki, które miały płatki w kształcie gwiazdek. Pamiętam, że biegałam dumnie z tymi wszystkimi kiczowatymi ilustracjami aż do samego wieczora, dopóki babcia nie zawołała mnie na wieczorynkę.

- Dziecko, jak ty wyglądasz? – spytała zdumionym głosem, pożerając mnie spojęniałym wzrokiem. Kazała ściągnąć ubrania, a tak właściwie to gałgany, które z nich zostały. Przygotowała najbardziej aromatyczną kąpiel, jaką kiedykolwiek brałam. Woda pachniała niezwykle intensywnie. Upajała wanilią z nut-



ką cynamonu. Gęsta, sztywna piana przybierała piaskowy odcień w świetle zapalanej żarówki. Kiedy tylko zanurzyłam całą siebie roznegliżowaną, poczułam się jak królowna polewana mlekiem posłodzonym miodem. Z ulubioną jasnoróżową bluzką demonstrującą najśłodszego futrzaka na świecie było gorzej. Uprana trzykrotnie w najlepszej jakości specyfikach, mieszaninach, miksturach nie wyzbyła się kolorowych flamastrowych serduszek, a jedynie puściła kolor. Nieco rozmyte malunki zostały na niemal białym już przyodziewku prezentującym jedynie niewyraźny cień królika.

Nie okazałam M złości za zrujnowanie bluzki. Zrezygnowałam z biadolenia o tak wielkiej stracie, jaką było ulubione ubranko – prezent od mamy, wiecznie przesiąknięty jej zapachem. Nawet po zapaskudzeniu oklapniętego ucha króliczka sokiem jabłkowym przyodzianie nie roztaczało woni jabłek, a po wypraniu w najbardziej aromatyzowanym płynie ta część garderoby nie przesiąkła kwiatami. Jakkolwiek pachniała, zawsze pachniała jak mama.

Przeminęła wiosna. Po niej nastąpiło lato. Wraz z tą pierwszą spośród czterech pór roku minęła też sympatia do M. Chłopiec wyjechał na kolonie. Przez dwa tygodnie jego nieobecności moja roztrzepana szczeniacka głowa zdążyła o nim zapomnieć. Uczucie tęsknoty ominęło mnie w każdej z możliwych odmian, gatunków czy też ras, a nawet rodzajów. Żadne przeraźliwe czy też doskwierające wrażenie osamotnienia nie powstało. Może byłam jeszcze nazbyt niewyrobona, niedowarzona, nieukształtowana, po prostu gówniarska. Bezproblemowo popadałam w radość, gładko można było wzbudzić u mnie chlupanie, mentalnie zapominałam o wszelkich zmartwieniach, filigranowe incydenty wywoływały u mnie niebagatelne wstrząsy. Wszystko zdawało się takie kluczowe, lecz trwało zaledwie chwilunię. Z dnia na dzień zawierałam coraz to nowsze znajomości, zrywając jeszcze gorące przyjaźnie poprzednich wieczorów. Otaczałam się wianuszkami przelotnych druhów. Byłam lubiana, jednak sama nie potrafiłam obdarzyć choć jednej wybranej osoby jakąś bardziej znaczącą sympatią. Przespałam porę namierzania własnej pary, konstruowania bezkresnego koleżeństwa; powynajdywania tej siostrzanej duszy tak pokrewnej, że aż zdobionej jednorakimi myślami, przepadającej za lodami o takim samym smaku, uwielbiającej zgodne odskocznie, doceniającej bliźniacze wartości, ocierającej bezmierne łyzy, dzielącej rozłożysty uśmiech. Wszystkie dziewczęta zdążyły dobrać się w dwójki, nim minęła szkoła podstawowa, a ja nadal trwałam sama ze sobą. Zabrakło dla mnie skrzypiec do rzewnego duetu.

Może to i lepiej, że przetrwałam bez siostry syjamskiej. Upodobniłaby się do mnie, nosiłaby moje ciuchy, nazywałaby moją babcię swoją, postępowałaby podobnie, mówiłaby słowami wyjętymi prosto z moich ust, a tak to byłam zawsze jedyna w swoim rodzaju, niekopiowana przez nikogo. Jeszcze pewnie by wirowała

wała dokoła tych samych chłopaków, adorując wybraków mojego serca. Oj, tak! Wiele razy słyszałam o takich przypadkach. Dwie dziewczyny się przyjaźnią parę ładnych lat, potem jedna z nich znajduje przystojną sympatię, chodzą do kina we trójkę, spacerują po centrum we trójkę, imprezują we trójkę, aż tu nagle ukochana przybiera niezauważalną postać swatki, nim mija rocznica jej związku, nakrywa dwie najbliższe osoby na zdradzie! Pozostaje osamotniona z rozdartym sercem. Już lepszym wyjściem jest odosobnienie. Poza tym taka bliskość bywa zazwyczaj nietrwała. Bezlitosny czas rozdziela towarzyszek wszystkich przebytych wspólnie dróg, kusząc każdą odmiennymi, niezwykle porywającymi ofertami od życia. Przyjaciółki wybierają inne uczelnie, wnoszą własnymi rękami rodziny zaopatrzone w akt własności z jednym imieniem i nazwiskiem. Żegnają się bez słów. Po prostu podążają rozgałęzioną ścieżką, nie zauważając nawet, że jedna skręciła w lewo, a druga w prawo. Dostrzegałam same ciemne strony takich damskich przyjaźni. Nawet wśród szczęśliwych chwil umiałam wychwycić jakąś szarżę. Być może robiłam to z zazdrości. Albo próbowałam pocieszyć rozmarzony umysł.

Dobrze chociaż, że byłam zdolna do jakichkolwiek uczuć. Jednak każde moje zakochanie trwało zaledwie ułamek sekundy w porównaniu z tak długą żywotnością człowieka. Pojawiało się znienacka, towarzysząc letnim promykom słońca, pachnącej trawie, tęczowym kwiatom; a przemijało wraz z jesiennym wiatrem, otaczając czerwone, brązowe, żółte i nawet te jeszcze zielonkawe liście pożegnalnym uściskiem, moknąc pod popielatym niebem, usychając jak cieliste źdźbła słomy, blednąc niczym cera przed zimą. Miejsce M niezwykle zwinnie zajął K. Tego dnia rzucił we mnie papierową kulką podczas pierwszej lekcji matematyki. Wymiętolona kartka rypnęła o moją głowę. Upadła pod ławkę. Sięgnęłam po nią dyskretnie. Rozprostowałam każdą część zakratkowanej powierzchni strony. W mgnieniu oka skraśniałam na widok krzywych literek, formułujących pytanie „Chcesz ze mną hodować?”. Nawet nie drgnęłam. Przetrzymałam odrętwienie, pragnąc ukryć przed resztą klasy zaróżowiałe policzki, a przede wszystkim krzyczący z uciechy wyraz twarzy. Momentalnie wszelkie cyfry, znaki plus i minus, a także kreska ułamkowa oraz nawiasy opuściły łepotynekę.

Pamiętam, jak kiedyś K dostał od ciotki różnobarwne gumy balonowe w kształcie kulek. Zamiast wyrzucić je samemu, przyłazł z nimi do mnie. Wypchaliśmy usta jedną rozciągliwą słodyczą. Lepka pyszność niemal roztapiała cały swój smak na języku. Pachniała truskawkami. Gnieciona zębami szybko kurczyła objętość. Połykana i wydzielana fala śliny sprawiała, że balsamiczny aromat nie trwał wiecznie. Do wcześniej wyciumkanej gumy dołożyliśmy drugą, trzecią, a nawet czwartą. Miałam tak wypchane usta, iż niemal połknęłam zlepki czerwonej, niebieskiej, żółtej oraz zielonej kulki. Jednak K nastraszył mnie, że

jak ta kłajstrowata papka wpadnie przez gardło do brzucha, nigdy nie odklei się od żołądka. Potem stwardnieje, zacznie mi obciążać wnętrzności, a wtedy to już będzie trzeba ją usunąć tylko operacyjnie. Złęknioma wstrzymałam oddech. Zgromadziłam wystarczająco dużo powietrza wewnątrz płuc, aby splunąć paćkowatym mazidłem prosto na dywan. Nadal ładnie pachniało. Poszarzało, jakby zsiniało wewnątrz jamy ustnej. Pewnie ślina spłukała całe zabarwienie. Nie wyglądało to już tak ładnie, jak smakowało. K wyksztusił swój zlepek barwnych gum. Opadł tuż obok mojej kupki. Również wypłowił. Miał odrobinę odmienny kształt, jakby układał się w strączek fasoli. Moje dzieło przypominało raczej główkę kwiatka rozpościerającego liczne płatki. Chwilę spoglądaliśmy na plastelinowe wytwory, po czym K zaproponował, aby wpakować je ponownie do ust. Jednak ja miałam pochłonąć jego własność, a on moją.

- To będzie smaczniejsze niż pierwszy buziak. Pocałuję cię bez konieczności połączenia naszych ust. Wymyślimy ekstranowoczesny komfortowy styl całowania – przekonywał podekscytowany. Zniesmaczona postacią niegdyś kuleczkowatych słodkości wreszcie uległam namowom. Chwyciłam jego wydzielinę, on przejął moją. Pociągnęliśmy. Szarpnęliśmy. I nic. To paskudztwo przykleiło się do dywanu. Na jedno szczęście ominęło mnie przerzucie tej wymumlanej przez K pulpy, zaś na drugą biedę dopadło mnie niezadowolenie babci, która ujrzawszy dwie kleiste mazie oblepiające puchaty kobierzec, cała poczerwieniała ze złości. Próbowała usunąć to plugastwo na wszelkie sposoby. Przykładała kostki lodu, suszyła suszarką, ogrzewała grzałką, szorowała włochatą szczotką, posypywała mąką, wchłaniała odkurzaczem, polewała wrzątkiem, smarowała masłem, nakrapiała rozpuszczalnikiem, drapała widelcem, obcinała nożyczkami, wyszarpywała maszynką do golenia, wyskrobywała wykałaczkami. Udało się usunąć gumiate ohydztwo, ale grafitowy ślad pozostał. Z czasem przybrał postać dwóch niewielkich rozmiarów smolistych zabrudzeń, pamiątki po moim drugim dziewczęcym zauroczeniu.

Trzeci chłopak nie był już tak wspaniałomyślny. P po prostu wpadł na mnie na szkolnym holu nieopodal sekretariatu (i tak nam już chyba zostało). Powiedział najbardziej landrynkowatym głosem, jaki tylko mógł odtworzyć „Prze-praszam”, jednak to nie uchroniło mojego ramienia przed gigantycznym siniakiem. Każdego ranka, każdego wieczora, za każdym razem, kiedy tylko zmieniałam ubiór, przyglądałam się temu obolałemu odcinkowi potłuczonej skóry. Śliwa zarysowała istną wybującość odcieni we wszelkich tonacjach. Dumnie prezentowała całą paletę zieleni, ujawniała wyrazistość fioleto, przybliżała bogactwo błękitu, eksponowała jaskrawość żółci, wytaczała kilka punkcików czerwieni. Jakby tego było mało, przybrała niczego sobie kształt serca. Gdy zanikała, nadal utrzymywała swoją zjawiskową konfigurację. Kilka dni od niniejszego drobnego wypadku minęłam P na schodach. Gdyby nie

szturchnął mojego ramienia, nigdy bym go nie wyłapała w zbiegowisku uczniów. Tym razem potrącenie uniknęło pomysłu pozostawienia jakiejś kolejnej bolesnej pamiątki. Później P znowu o mnie zawadził przed gmachem szkoły. Niemal doprowadziłby do zderzenia, i to czołowego! Wpadaliśmy tak na siebie do znudzenia, aż w końcu mój prześladowca znalazł odrobinę śmiałości.

- Czy my się skądś nie znamy? – wymamrotał nieco zmieszany. Całe szczęście przeszła mi początkowa myśl obtańcowania przesłodkiego dręczyciela. Co więcej, prowadzona za jego dłoń pozwalałam się dręczyć dalej.

Ostatecznie nudziarski P zadreńczył mnie do upadłego. Obrzydł tak mocno, że aż popadłam w całkowite znużenie. Zobojętniałam. Musiałam go odprawić. Niemal natychmiastowo znalazłam pocieszenie u T. Już nie pamiętam, jak to się między nami zaczęło, ale za to pamiętam, iż szybko się skończyło, kiedy tylko spostrzegłam, jak bardzo lubi wspinaczkę. Właściwie, przetrzymałam jego pasję. Potraktowałam ją niczym zwykłe uprawianie sportu, chwilowe zainteresowanie, taki słomiany zapał, który kiedyś bezpowrotnie się wypali. Cała ta namiętność zaczęła mi doskwierać dopiero wówczas, gdy T zaczął częściej, bardziej ambitnie włączyć na ściankę i jeszcze zapragnął wciągnąć mnie w to bagno. Swego czasu otworzyłam ogromną szafę umieszczoną wewnątrz pokoju nowego chłopaka celem wyłowienia jakiegoś ciepłutkiego swetra, którym mogłabym okryć półnagie ciało. Zauważyłam okryty stertą spodni sprzęt wspinaczkowy. Wyglądał niezwykle profesjonalnie. Przypominał wyposażenie ojca, z tym że te przybory wydawały się bardziej nowoczesne, jeszcze nie tknięte przez skały. Wnikliwie oglądałam długą linę nienaznaczoną żadnymi szarpnięciami, mocną uprząż, połyskliwy kask, lekkie buty o cienkiej podeszwie dającej możliwość czucia powierzchni pod stopami.

- Chcesz się nauczyć wspinaczki? – zapytał, nakrywając mnie na głaskaniu drobnymi dłońmi odkrytej aparatury. Z rozmachem obróciłam głowę ku niemu. Wychwyciłam połyskujący zamięłowaniem błysk wokół źrenicy. Poznałam tę niegdyś zagadkową iskrę.

- Nigdy! – zahuczałam, wypełniając oczy podobnym poblaskiem, jednak wywołanym zupełnie inną przyczyną. Ślepią momentalnie zwilgotniały, tonąc w tafli słonej cieczy – mieszaniny żalu, zasmucenia, goryczy, rozczarowania, uczucia przełknięcia poniesionej porażki. Wyprostowałam się, opuściłam podbródek, przymknęłam powieki, objęłam wszystkie należące do mnie przedmioty, wybiegłam bez słowa. Nawet nie przekreśliłam szyi, by po raz ostatni obiec spojrzeniem zdębiały wyraz twarzy milczącej sympatii.

W końcu pojawił się on. Na ścieżkę mojej długiej podróży wmaszerował ktoś, przy kim potrafiłam zapomnieć o reszcie świata. Kroczył obok mnie ktoś, przy kim poczułam prawdziwą pełnię życia. Ktoś, przy kim umiałam czerpać

radość z każdego, nawet deszczowego dnia. Ktoś, przy kim dostrzegłam wszystkie przeoczone dotychczas barwy. Ktoś, kto mnie naprawdę uszczęśliwił. Ktoś, komu zapragnęłam oddać całą siebie. Ktoś, kogo bardzo pokochałam. On miał na imię M2. Wiedziałam, że wkrótce czeka nas rozstanie, dlatego starałam się podchodzić z dystansem do odkrytej rozkoszy. Opanowana beztrudnie smakowałam tego, czym los częstował. Tak było na początku. Jednak serce nie służyło. Nie posłuchało przestrogi. Nim minął tydzień zdążyło doszczętnie zatonać w miksturze obejmującej mieszaninę składnika przywiązania, komponentu rozmiłowania, domieszki namiętności, pierwiastka zaangażowania, i wszelkie inne elementy miłosego zestawienia.

M2 zaraz po ukończeniu edukacji wyjechał do Ameryki. Miał tam ciotkę w Nowym Jorku. To ona zapewniła mu schronienie nad głową, pomagała robić karierę zawodową, uczyła biegle mówić obcym językiem. Odjechał. Przerwał mocne objęcie. Zostawił mnie samą, ogrodzoną pętlą osobistych powinności, poważnie zakochaną, śmiertelnie stęsknioną. Tęskniłam tak bardzo, że aż miałam ochotę to wypłakać. Płakałam, niemal każdego dnia, szczególnie wieczorami. Czasem łzy wypływały mimowolnie. Przezroczyste kropelki opuszczały oczy bezwstydnie, zaniedbując obecność przechodniów w miejscu publicznym. Najchętniej wyciekały przed snem i po przebudzeniu. Nigdy nie przypuszczałam, iż można kogoś pragnąć z taką przeogromną siłą. Mimo upływu czasu moje uczucie pozostawało niewzruszone, jakby właśnie ta cząstka mnie przystanąła w tamtym punkcie i postanowiła pozostać w nim na zawsze. Dla niej wszystkie zegary świata zatrzymały wskazówki. Procesy starzenia nie stanowiły zagrożenia.

On był wszędzie tam, gdzie byłam ja. Zasypiałam, zatrzymując go w moich marzeniach. Budziłam się, rozpoczynając dzień myślami o nim. Usiłowałam odnaleźć jego bliskość pod rozgrzaną kołderką, do której tuliłam skroń. Jadł ze mną śniadanie, popijając chrupkie pieczywo smolistą kawą. Spacerowaliśmy razem wzdłuż parku. Zbieraliśmy kasztany wczesną jesienią. Głaskał moje włosy wraz z porywistym wiatrem. Odprowadzał do domu wieczorami. Zapalał uliczne latarnie. Pomagał skrobać marchewkę (przez niego omal nie pocięłam nożem palca). Parzyliśmy razem herbatę. Wszystko kojarzyło się z nim. Samochody pędzące wzdłuż asfaltowej drogi. Piasek nad morzem. Soczysta zieleń trawnika. Mgliste słońce wznoszone gdzieś wysoko pod błękitem nieba. Pawie stepujące w ogrodzie sąsiadów. Porzucone przez drzewa liście tańczące na wietrze. Zjadany kawałek pizzy z szynką. Parasolka otwierana podczas płaczu ołowianych chmur. Zapach świeżo wypranej odzieży. Każdy skrawek mojego ciała. Muzyka.

Kiedyś wyszłam do centrum handlowego celem nabycia kilku ładnych łachów. Moda ulega nieustannym przemianom, moje gusta ewoluują, a szafa wydawała mi się jakaś taka pusta, mimo przepełnienia niezliczonymi nienoszonymi ubraniami. Ostatnio stałam przed nią bezradnie, nie potrafiąc już wydobyć z jej wnętrza czegoś dla siebie. Przeszłam próg niedawno otwartego butik na pierwszym piętrze. Bardzo łatwo było go dostrzec pośród sklepowego tłumu, bo tonął w intensywnym różu. Ten kolor mocno wyróżniał dom handlowy, wręcz prowokował, aby do niego wejść czym prędzej. Działał na kobiety jak czerwona płachta na byka. Ja również postanowiłam wstąpić. Wszystkie ubrania były ułożone według kolorów. Błękity, zieleń i fiolet po prawej stronie, wszelkie odcienie brązów, szarości, czerni oraz czerwieni po lewej, zaś biel, beż, róż naprzeciw wejścia. Natychmiastowo ruszyłam ku błękitom. Wygrzebałam śliczny kaszmirowy sweterek. Leżał idealnie. Niestety, kosztował fortunę. Już miałam go odwiesić, gdy nagle zauważyłam metkę z napisem „Made in America”. Serce zadrżało. O mały włos nie pękło, i to na milion kawałków. Kupiłam wywieszzone ubranie.

Pewnego słonecznego dnia M2 przyjechał. Wreszcie! Byłam pewna, że prędko do mnie wróci, choć na chwilkę, krótki czas odwiedzin. Nie przestałam naiwnie wierzyć, mimo strachu przed dzielącą nas odległością, pochmurnych opinii bliskich stawiających krzyżyk na przepowiadanym grobie tego związku, rzadkiego dostawiania wiadomości od M2. Trwałam tak kilka miesięcy z powolnie gasnącą nadzieją. Całe szczęście, jakaś drobna iskierka połyskiwała jeszcze w środku. Doczekałam się. Nastął prawdziwy dzień kwiatów, przy czym bukietem mogą być też amerykańskie czekoladki. Spędziliśmy razem cały weekend. Uśmiech przyozdabiał moją twarz nieustannie. Spoważniał dopiero wtedy, gdy M2 wybąknął „Pojeźdź ze mną.”. Musiałam odmówić. Jeszcze nie teraz, jeszcze nie czas. Pozostało mi na głowie kilka miejscowych zobowiązań. Potrzebowałam czasu, by dokończyć zaległe sprawy, uporać się z nimi do końca. Przewidziałam inny, bardziej odległy termin mojego przylotu.

- Dobrze, zatem czekam na ciebie do końca sierpnia i ani chwili dłużej – wymamrotał, zerkając na moje zasmucone oczy po raz ostatni przed powrotem do nowego domu za oceanem.

Starłam się, naprawdę, robiłam wszystko, aby przebrnąć przez wszelkie prywatne obowiązki do końca sierpnia. Ostatniego dnia tego upalnego miesiąca wstałam z samego rana; spakowałam największą walizkę, jaką tylko namierzyłam w domu dziadków; zjadłam solidne śniadanie, ucałowałam babcię, przytuliłam dziadka, pogładziłam metalową klamkę od drzwi wyjściowych. Pożegnałam cały dom, lecz nie na zawsze, jak się okazało – nie na długo. Wyruszyłam w kierunku lotniska. Zlokalizowałam punkt sprzedaży biletów. Zastałam kolejkę.

Całe szczęście przede mną stały tylko trzy osoby – przystojny brunet z delikatnym zarostem, rudowłosa kobieta okryta zielonym płaszczem, blond piękność przystrojona różem. Zakupy tych trzech barwnych postaci dłużyły się niemiłosiernie. Nawet nie spostrzegłam, kiedy zaczęłam tupać nogą. Nie zliczyłam, ilekroć oplatałam ręce wszereż brzucha, a następnie opuszczałam dłonie swobodnie ku kolanom. Nie poczułam, jak kropelki potu zaczęły spływać wzdłuż skroni.

Nareszcie dobrnęłam do lady. Nastąpiła moja kolej. Poprosiłam o bilet do Nowego Jorku, i to na dzisiejszy lot, jak najwcześniejszy.

- Przykro mi. Spóźniła się pani. Za jakieś dwie godzinki startuje ostatni samolot. Brak miejsc. Ta pani, która stała przed panią w kolejce wykupiła ostatni bilet – poinformowała mnie sztywnym głosem pracownica lotniska. Zmieszana odeszłam bez słowa. Położyłam walizkę gdzieś w centrum dużego holu. Usiadłam na niej wygodnie. „Spóźniłam się zaledwie o kilkadziesiąt sekund. Gdybym tylko stanęła przed tą blondynką w szpilach. Zostałam wyprzedzona przez kobietę w butach na obcasach, w różowych butach na obcasach, i to blondynkę!”, pomyślałam z wyrzutem. Poczułam, jak delikatny dreszczyk zdenerwowania przebiegł wzdłuż nóg. Rozluźniłam stopy, strzepując spływające po lekko drżącym ciele przejęcie. Uniósłam twarz ku górze. Uśmiechnęłam się. „Przecież jutro też jest dzień. Co z tego, że pierwszy września. M2 będzie moim wyzwaniem, moim Mont Blanc. Zdobędę ten szczyt nawet po upływie uzgodnionego terminu, choćbym miała szukać go na drugim końcu świata, i to wcale nie będę musiała tego dokonać kosztem szczęścia innych, wręcz przeciwnie, dla szczęścia.” Życie jest nieustanną podróżą, pełną nieoczekiwanych niespodzianek, zaskakujących zwrotów akcji, a przede wszystkim wartych każdego kolejnego dnia decyzji, które pozwalają oddychać głęboko.

**Magdalena Topp**



*Wiesława Pałasz – Wejherowo*

## PRZEPROWADZKA

- Będziemy mieszkać w Wejherowie – zakomunikował mi pewnego dnia przy śniadaniu Adaś – Jutro idziemy oglądać mieszkanie.

- Gdzie? – z wrażenia o mało co nie zakrztusiłam się owsianką.

Dziecko w moim brzuchu fiknęło gwałtownego koziołka. Wyraźnie czułam, że chciałoby powiedzieć coś w stylu „halo, mammo, czy ja dobrze słyszę? Czy tatuś chce, abyśmy mieszkali w...”

- W Wejherowie.

- Ale... Nie kupujemy już tego poddasza we Wrzeszczu?

- Daj spokój, kochanie, będziemy się bawić w remonty jakiegoś starego poddasza! Kupujemy nowe, duże mieszkanie i tyle. No, odpoczywaj, ja pędzę do pracy – cmoknął mnie w policzek, zarzucił na ramiona marynarkę i wyszedł.

Długo siedziałam, wpatrując się uporczywie w rozsypany na stole cukier. Owsianka stygła, łyżka zawisała w mojej dłoni, beznadziejnie usiłując dosięgnąć talerza. Dziecko najwyraźniej doszło do wniosku, że chyba jednak się przesłyszało i spokojnie można spać dalej, bez obawy, że wywiozą nas gdzieś na koniec świata. W mojej głowie natomiast kłębiły się setki spanikowanych myśli. W Wejherowie? Jak to w Wejherowie! Nie dość, że przeniosłam się z Warszawy do Gdańska, to jeszcze teraz Adaś ciągnie mnie do jakiegoś Wejherowa.

Włączyłam komputer i odnalazłam w Internecie plan miasta. Bezmyślnie wpatrywałam się w odrastające od pnia prowadzącej do Szczecina krajówki gałązki ulic, wijącą się pomiędzy nimi błękitną wstążkę jakiejś rzeczki, zielone plamy lasu... Co można robić w takim miejscu? Co z pracą? Czy jest bardzo nudno? Jacy ludzie tam mieszkają? Nie ma pewnie żadnych imprez, kawiarni, kina... W asyście jakich dzwonów zjawiasz się Wejherowo? Za chwilę nie będziesz dla mnie tylko płataniną kresek na mapie. Już jutro to ja będę w tobie kaszleć, może oszaleję, a może umrę...

Antoś urodził się w grudniu w Warszawie, a już pod koniec lutego przenieśliśmy się wszyscy do naszego nowego, starannie urządzonego przez Adasia mieszkania. Ze zdziwieniem obserwowałam przez okno przyprószone śniegiem wzgórze. Jak to, przecież wyprowadziłam się nad morze, a tu góry? Dla



mnie, córki Mazowieckich nizin, dla której jedyne pobliskie wzniesienie stanowiła Wiślana skarpa, był to widok nader niezwykle.

Po delikatnym zamieszaniu spowodowanym pojawieniem się nowego członka rodziny oraz zmianą miejsca zamieszkania, zaczęło się dla nas zwykłe, codzienne życie. Adaś wychodził teraz do pracy bardzo wcześnie rano, a mi cały dzień schodził na zajmowaniu się Antosiem i domem. Moje obawy, zwłaszcza te dotyczące braku imprez, okazały się bezpodstawne. Cześć sąsiadów urządzała sobie niekończącą się parapetówkę (a latem także wiecznego grilla), dudniła muzyka, puste butelki turlały się po klatkach. Antoś, dzięki Bogu, sen miał sprawiedliwy i tylko mnie, matkę te hałasy przyprawiły o palpację serca.

Sąsiadów oczywiście mieliśmy różnych, nie tylko uciążliwych. Dzięki wspólnym, drobnym rytuałom, wyrzucaniu śmieci, przemykaniu po wąskich schodach i korytarzach, wyprawom do pobliskiego sklepiku, z niektórymi szybko połączyły nas nitki sympatii. Spotykaliśmy się wieczorem na karty i wino, opowiadaliśmy o sobie. Moja przeprowadzka wywoływała na ich twarzach zazwyczaj półcień uśmiechu, ni to pobłażliwego, ni to litościwego: ach, jacy biedni ci ludzie z Warszawy, muszą uciekać stamtąd aż do Wejherowa! Z początku broniłam swojego miasta jak lwica, ale wystarczyło pół roku, abym wracała ze stolicy wykończona harmidrem, przewalającym się po ulicach tłumem i nieustannymi korkami.

Lubiłam się zwłaszcza z jednym sąsiadem, który miał balkon naprzeciwko naszego. Wyglądał dokładnie jak Günter Grass: takie same wąsiska, identyczne spojrzenie i potężna postura. Kiedyś pomógł mi znieść ze schodów wózek i w ten sposób rozpoczęła się nasza znajomość. Miał na imię Bogdan, ale w moich myślach na zawsze pozostał Grassem. Obserwowałam go nieraz z Antosiem przytulonym do mojego ramienia z okien sypialni, pijącego piwo na balkonie i rozwiązyującego krzyżówki. Ja zawsze miałam tyle zajęć, że nie wiedziałam, w co włożyć ręce, a on tak po prostu siedział sobie i w spokoju popijał piwo. Bardzo mu zazdrościłam.

Raz Bogdan zaprosił mnie do siebie na kawę. Usiedliśmy przy stole, jego żona przyniosła ciasto, Antoś z zapalem godnym wielkiego odkrywcy zabrał się za zwiędzanie podłogi.

- Słyszałam taką obrzydliwą plotkę, że jesteś z Warszawy – mrugnął do mnie Bogdan.

- To nie obrzydliwa plotka, to najprawdziwsza prawda – roześmiałam się – Na swoje usprawiedliwienie dodam tylko, że moja rodzina właściwie nie pochodzi z Warszawy. Mój pradziadek jeszcze w latach pięćdziesiątych był dyrektorem szkoły na Kurpiach.

- Popatrz, mój tata też był dyrektorem szkoły, tylko że na Kaszubach.

- Czyli jest pan stąd, całkowicie oryginalny Kaszuba... Ma pan może jakieś stare zdjęcia? Z chęcią obejrzałabym, jak kiedyś wyglądały te okolice.

- Jasne. Halinko, przynieś, proszę nasze albumy.

Po chwili przeglądaliśmy stare fotografie.

- Co my tu mamy: nasz ślub, pocztówkę z Wejherowa, gdy jeszcze się nazywało Neustadt in Westpreussen...

- A ten chłopiec? – zainteresowałam się zdjęciem przedstawiającym dziecko o przenikliwym spojrzeniu.

- To brat mojej mamy, Janek. Chorował na coś, co dzisiaj nazwalibyśmy autyzmem. Został zamordowany przez hitlerowców w trzydziestym dziewiątym. To była taka akcja eugeniczna - T4. Tu nieopodal w Piaśnicy zabito kilka tysięcy chorych umysłowo osób.

W weekend wybraliśmy się na spacer do piaśnickich lasów. Lato było wyjątkowo piękne, promienie słońca wplątywały się w ciszę i liście paproci, czerniały w poszyciu dojrzałe kropeczki jagód, oszałamiająco pachniała żywica. Antoś, zachwycony podróżą w nosidełku na moich plecach, przyglądał się wszystkiemu szeroko otwartymi oczami.

- Moja matka wspominała, że Janek był niezwykłą osobą – opowiadał Bogdan - Potrafił na przykład błyskawicznie zliczyć w pamięci bardzo wysokie liczby. Ale dla hitlerowców był tylko *lebensunwerten Leben* – życiem niewartym życia. Przyjechali do szpitala, zabrali wszystkich pacjentów... Nikt ich nigdy więcej nie widział. Janek miał wtedy pięć czy sześć lat.

Szliśmy w milczeniu pełną szyszek ścieżką.

- Chodźmy tam – Bogdan wskazał ręką - Tam leży błogosławiona Alicja Kotowska. Przyjechała tu z Warszawy, tak jak ty, i została dyrektorką wejherowskiego gimnazjum. Na esesmana, który ją aresztował, spadł ponoć wazon.

Nad mogiłą pochylał się w modlitwie wysoki mężczyzna. Usłyszawszy zbliżający się szelest kroków, zwrócił twarz w naszą stronę i posłał nam ciepły uśmiech. Bogdan zbladł.

- Kasiu, idziemy stąd szybko – odwrócił się i szybkim tempem ruszył w stronę samochodu.

- Co się stało? – zdziwiłam się.

- Nie wiem, nie jestem pewien, ale... ten człowiek mnie śledzi! Stoi pod moimi oknami i obserwuje. Widziałem go już kilka razy.

- Nie wygląda na groźnego, może po prostu spytasz go, o co chodzi.

- Lepiej wracajmy.

Antoś miał już prawie osiem miesięcy i zaczęłam rozglądać się za pracą. Powrót do poprzedniej nie wchodził w rachubę, a w Wejherowie, tak jak wcześniej podejrzewałam, znalezienie czegoś sensownego stanowiło nie lada wy-

zwanie. Zaproponowano mi etat w księgarni, niestety pensja była zbyt niska nawet na opłacenie Antosiewi niani czy żłobka. Wreszcie udało mi się zaczepić w pewnej firmie w Gdańsku. Udręką stały się dla mnie niesłuchanie długie dojazdy. Wstawałam rano przed piątą, mój synek spał jeszcze słodko, a mi robiło się przykro, że nie będę go widzieć przez tyle godzin. W pośpiechu szykowałam się, szybki, kilkuminutowy spacer wybudzał lepiej, niż najmocniejsza kawa. Przebiegałam jeszcze zarośniętą wysokim, żółknącym koprem ścieżkę i już byłam na peronie.

Pociąg z pewnością pamiętał lata, kiedy padał Janek Wiśniewski. Na rozkładzie przystanków odlepiła się plakietka z napisem „Gdynia – Wzgórze Św. Maksymiliana” i, niczym przebłysk z odległej galaktyki, wyłoniło się tajemnicze „Wzgórze Nowotki”. Ludzie, od niepamiętnych czasów ci sami, kiwali w półśnie ze zrozumieniem głowami nad tym niespodziewanym dla mnie zapętleniem czasu. W pierwszym przedziale jadący do pracy stoczniowcy raczyli się piwem.

Wysiadłam w Gdańsku Głównym i, trzęsąc się od porannego chłodu, przeżykałam Długą, aby w przeciwieństwie do stad gołębi i turystów zlekceważyć Neptuna i przed samym Długim Targiem skręcić w boczną uliczkę, całkiem wypełnioną zapachem świeżo upieczonych drożdżówek.

Wracałam tak samo – jak najprędzej, bez oglądania wystaw i robienia zakupów, ale i tak do domu docierałam po szóstej. Na cieszenie się Antosiem po prostu nie miałam już siły.

Po kilku miesiącach tej męki szczęście postanowiło się do mnie uśmiechnąć i znalazłam interesującą pracę w Wejherowie jako asystentka dyrektora w spółce budującej farmy elektrowni wiatrowych.

- Kasiu, to jest nasz wspólnik ze Stanów – powiedział do mnie pierwszego dnia pracy mój szef – proszę, poznajcie się.

Za nim wszedł do biura elegancko ubrany, wysoki mężczyzna. Zamarłam. To był ten sam człowiek, którego widzieliśmy latem z Bogdanem w lasach Piaśnicy.

- Dzień dobry, jestem Henry Smith – powiedział po polsku z silnym amerykańskim akcentem i podał mi dłoń – czy my się już kiedyś nie spotkaliśmy?

- Dzień dobry, Katarzyna Bogusz – uśmiechnęłam się – zdaje się, że tak.

- Pani jest w jakiś sposób spokrewniona z Bogdanem Paczoską? Byłby to niezwykle zbieg okoliczności! Przepraszam, ale chyba nieźle państwa wtedy w lesie nastraszyłem. Proszę mi wybaczyć, nie miałem pewności... Czy pani może mi pomóc?

- ... I wyobraź sobie, Aniu, – relacjonowałam przez telefon mojej dalekiej, warszawskiej przyjaciółce – wyobraź sobie, ten Henry Smith był synem Janka,

wuja Bogdana, którego wszyscy uważali za zmarłego. Okazało się, że wcale nie zginął. Jeden niemiecki oficer zachwyił się jego zdolnościami matematycznymi i zabrał go do swojego domu. Całą wojnę chłopiec przeżył w Ratyzbonie, a stamtąd trafił do adopcji do Stanów, ponieważ nikt nie wiedział, czym jest tak właściwie dzieckiem. Leczono go w John Hopkins University Hospital w Baltimore. Po latach został znanym profesorem matematyki!

- Kurczę, wy to macie przygody tam na tym Pomorzu – stwierdziła przyjaciółka – a tu w Warszawie szaro, nuda i ciągle leje...

- Przyjeżdżaj do nas, zanim wykupią wszystkie mieszkania na naszym osiedlu.

Wyjrzałam przez okno. Bogdan i Henry stali ramię w ramię na balkonie, patrzyli gdzieś w unoszącą się między wzgórzami listopadową mgłę. O czym rozmawiali? Gdzieś z głębi domu usłyszałam płacz przebudzonego Antosia. Pożyczyłam im w myślach wszystkiego najlepszego i pobiegłam ratować synka przed sennymi potworami.

***Elżbieta Czarnecka***



*Danuta Sokołanko – Słupsk*

## PUDEŁKO WSPOMNIENÍ

*Kiedy się czegoś pragnie, wtedy cały wszechświat sprzysięga się,  
byśmy mogli spełnić nasze marzenia.*

Paulo Coelho, Alchemik

Późnym popołudniem dotarłam do celu. Z dworca kolejowego czekał mnie prawie godzinny spacer do domku Babci, który mieścił się w Zielonym Gaju – niewielkiej wiosce na północy Polski.

- To będą kolejne nudne wakacje – pomyślałam, idąc piaskową dróżką, wśród łąk mieniących się zielenią traw i czerwienią maków.

Babcia Marta mieszka w małym domku, ze spadzistym dachem, położonym nad stawem, którego brzegi obrasta wysoki tatarak. Dziadek zmarł dwa lata temu. Bardzo za nim tęsknię. Pomimo sędziwego wieku i ciężkiej choroby uśmiech zawsze gościł na jego twarzy. Kiedy byłam młodsza, zabierał mnie często na długie spacery, które zazwyczaj kończyły się wieczorną kąpielą w nagrzanym przez promienie słoneczne stawie.

Od kiedy sięgam pamięcią, wakacje spędzałam u dziadków - w zeszłym roku jeszcze z rodzicami. Mieszkamy w Łodzi, więc wyjazd na wieś był dla nich idealnym sposobem na wypoczynek. W tym roku, ze względu na to, że jestem już pełnoletnia, przyjechałam sama. Mama, odwożąc mnie na dworzec, poprosiła abym pomogła Babci w codziennych obowiązkach oraz dotrzymała jej towarzystwa.

Babcia zawsze była energiczną osobą. Po śmierci dziadka jej entuzjazm i radość życia osłabły. Czowała się samotna, ale pomimo wielokrotnych próśb rodziców, nie chciała zamieszkać z nami, w mieście. Moim zadaniem było podnieść ją na duchu. Do wyjazdu na wieś nastawiłam się sceptycznie. Chciałam zostać w Łodzi - tam mogłabym spotykać się z przyjaciółmi i znajomymi, wyjść do kina czy teatru.

- Wnusi, ale wyrosłaś. Jeszcze trochę i jakiś młodzieniec Cię nam wykradnie! – z daleka słyszałam głos Babci, która nie widziała mnie od Świąt Wielkanocnych.

- Witaj babciu! Niewiele się zmieniłam przez trzy miesiące – odpowiedziałam, widząc Babcię stojącą przed domem.

Babcia przygotowała pierogi z kapustą i grzybami, które uwielbiam. Wieczór spędziłyśmy na ławce przed domem. Zostałam zarzucona lawiną pytań. Opowiedziałam ze szczegółami, co wydarzyło się od czasu, kiedy ostatni raz się widziałyśmy. Babcia chciała wiedzieć wszystko – począwszy od tego, jak będzie mi się w szkole, skończywszy na samopoczuciu rodziców. Uzgodniłyśmy też, że jutro z samego rana zajmę się porządkowaniem strychu.

Już o 7:00 obudził mnie zapach gorącego mleka i jajecznicy. Zaraz po śniadaniu zaczęłam porządki. Będąc dzieckiem, bałam się strychu. Był pozbawiony okna, więc nawet za dnia panowała tam ciemność. Pomimo tego, że jestem już dorosła, kiedy przekraczałam próg strychu, serce waliło mi jak szalone. Nic się tam nie zmieniło. W gąszczu pajęczyn dało się dostrzec spowite w kurzu kartonowe pudła i nieużywane sprzęty: maszyna Singera, adapter Bambino, zegar niczym z wiersza Marii Konopnickiej pt. „Stary zegar od pradziadka”, zepsuty odbiornik radiowy. Kilka pudeł, które otworzyłam, zawierało stare ubrania, zarówno Babci, jak i Dziadka. Były też kartony z książkami. Moją uwagę przykuło szczególnie jedno z pudeł. Jako jedyne stało w rogu położonym najdalej od schodów. Po usunięciu białego pyłu ukazał się piękny, drewniany kuferek. Zajrzałam do jego wnętrza. Znalazłam tam mnóstwo zdjęć związanych czerwoną wstążką. Rozpoznałam na nich Babcię. Spostrzegłam, że na większości znajdował się też mężczyzna, którego nie potrafiłam rozpoznać. Kuferek nie był zbyt ciężki, więc zaciekawiona pobiegłam z nim do Babci.

Babcia krzątała się po kuchni, przygotowując obiad. Była tak zajęta, że nie zauważyła, kiedy zesłam. Korzystając z faktu, że mnie nie widzi, stanęłam w progu i przyjrzałam się jej dociekliwie. Mimo upływu lat, dało się dostrzec w jej twarzy i sylwetce tę młodą kobietę ze zdjęć, które znalazłam. Oblicze nadal odznaczało się niezwykłą gładkością, błękitne oczy nadawały mu blasku. Długie włosy posiwiwały, ale nadal pięknie lśniły. Każdy ruch był szybki i zwinny.

- Wnusiu, co się stało? Dlaczego stoisz w progu? – z zamyślenia wyrwał mnie aksamitny głos Babci.

- Znalazłam to na strychu – powiedziałam, trzymając kuferek w rękach. To niemożliwe! Myślałam, że zaginął 30 lat temu, podczas przeprowadzki z miasta tu, na wieś – zdziwiła się Babcia.

- Stał w rogu, prawie niezauważalny. Jest w nim mnóstwo zdjęć. Na części z nich jest z Tobą pewien mężczyzna. Nie potrafię go rozpoznać. To chyba nie dziadek? – wyjaśniłam.

Babcia stała chwilę w milczeniu, jakby próbowała przywołać wspomnienia. Ruchem ręki wskazała, żebym usiadła przy kuchennym stole. Za oknem padał deszcz, zanosiło się na burzę. W domu było ciepło i przytulnie. Usadowiłam się

wygodnie na ławie przy kuchennym stole. Babcia podgrzała mleko i usiadła obok mnie.

- Kasiu jesteś już dorosłą kobietą, dlatego z największą przyjemnością opowiem ci o największym szaleństwie mojej młodości – zwróciła się do mnie.

Jak się okazało rodzice Babci byli bardzo wymagający wobec swej jedynaczki. Rezultat ich stanowczego wychowania to między innymi ukończenie przez Babcie szkoły z bardzo dobrymi wynikami w nauce. Pradziadkowie chcieli, aby ich córka została lekarką. W tym celu miała podjąć dalszą naukę w Akademii Medycznej w Gdańsku, gdzie wówczas mieszkali. Babcia, od dziecka obdarzona talentem aktorskim, pragnęła natomiast zostać drugą Brigitte Bardot. W szkole, jako członkini Koła Teatralnego, była zawsze gwiazdą każdego przedstawienia. Marzyła o roli w światowej sławy filmie.

Po zakończeniu szkoły dowiedziała się od kuzynki, mieszkającej w ówczesnej Czechosłowacji, że przebywa tam pewien polski reżyser, który ogłosił nabór aktorów do nowego filmu. Babcia miała właśnie wakacje, więc nie zastanawiając się długo, spakowała plecak. Napisała list do pradziadków i wczesnym czerwcowym porankiem wyruszyła w drogę do kuzynki Klary, która mieszkała we Franciszkowych Łażniach, na terenie dzisiejszych Czech. Tam miał odbyć się nabór.

Drogę Babcia pokonała autostopem, przesiadając się wiele razy. Najpierw, z Gdańska trafiła na południe Polski, do Zakopanego. Stamtąd udało się jej dojechać autokarem, z grupą polskich turystów, do Pragi. Język czeski знаła w takim stopniu, że do Franciszkowych Łażni dotarła, podróżując z obywatelami tamtejszego kraju. Łącznie jechała trzy dni. Po przybyciu na miejsce, przywitaniu z wujostwem i kuzynką, pobiegła na pocztę nadać telegram do pradziadków. Poawiadomiła ich, że dojechała bezpiecznie na miejsce oraz przeprosiła za wyjazd bez ich wiedzy i zgody.

U wujostwa Babcia mogła mieszkać tak długo, jak chciała. Bardzo lubiła kuzynkę Klarę, ciotkę – siostrę mojej prababci oraz wuja, który był Czechem. Spotkał ciotkę podczas jednej z podróży zawodowej do Polski. Zakochał się w niej, poślubił i zabrał do swej ojczyzny, gdzie założyli dom.

Babcia postanowiła wziąć udział w naborze aktorów już pierwszego dnia. Od jej przyjazdu minął tydzień, podczas którego zapoznała się ze scenariuszem. Miał to być film o miłości dwojga młodych ludzi, którzy nie mogli być razem ze względu na różnice klasowe. Babcia marzyła o roli głównej bohaterki. Przesłuchanie kandydatów odbyło się w centrum miejscowości, w specjalnie do tego celu przygotowanej sali o dobrej akustyce. Chętnych do gry w filmie było wielu. Babci przypadł szczęśliwy numer 13. Z naboru wróciła przekonana, że nie otrzyma żadnej roli, zwłaszcza głównej. Podczas prezentacji swych umiejętności aktorskich denerwowała się tak, że kilka razy zapomniała tekstu. Miała ode-

grać romantyczną scenę tańca. Niestety wielokrotnie deptała po butach mężczyzny, któremu przypadła rola jej scenicznego partnera podczas castingu.

Ogłoszenie wyników naboru miało nastąpić po upływie tygodnia od zakończenia przesłuchań. Oczekując na nie, Babcia, która była pierwszy raz we Franciszkowych Łazniach, wraz z kuzynką Klarą, podziwiała ich uroki. Była to mała miejscowość uzdrowiskowa. Już wtedy słynęła z obfitości źródeł mających właściwości lecznicze. Punktem centralnym uzdrowiska była promenada spacerowa znajdująca się w otoczeniu Parku Zdrojowego. W tej urokliwej miejscowości rozwój cywilizacji z niezliczoną ilością hoteli i domów dla turystów doskonale połączony był z siłą i bogactwem natury. Babcia, ulegając czarowi miasteczka, szybko zrozumiała, dlaczego polski reżyser aż tutaj postanowił nakręcić swój film. Piękno i spokój uzdrowiska harmonizowały z opowieścią o wielkiej miłości.

Kiedy nadszedł dzień ogłoszenia wyników, Babcia była tak zdenerwowana, że na odczyt zakwalifikowanych do poszczególnych ról wysłała kuzynkę. Do dziś pamięta napięcie, jakie towarzyszyło oczekiwaniu na powrót Klary. Kuzynka wróciła do domu z bukietem róż dla odtwórczyni głównej roli kobiecej. Reżysera zachwycił aksamitny głos Babci, delikatna uroda i piękny uśmiech. Ona sama nie mogła uwierzyć, że jej marzenie się spełni.

Następnego dnia od rana trwało zebranie aktorów z reżyserem i scenarzystami. Babcia poznała swego filmowego towarzysza – odtwórcę głównej roli męskiej. Był to przystojny, wysoki, dobrze zbudowany brunet, pięć lat starszy od Babci, z pochodzenia Polak, który od kilku lat mieszkał w Pradze. Miał na imię Paweł. Babcia szybko się z nim zaprzyjaźniła. Łączyła ich miłość do aktorstwa oraz zamiłowanie do długich wieczornych kąpiei w pobliskim jeziorze. On czuł się osamotniony, w Pradze czekała na niego ukochana. Pieniądze, które zarabiał, grając w filmie, odkładał na ślub. Babcia tęskniła za rodzicami, mimo że często z nimi korespondowała. Wiedziała, że oswajają się z myślą, że wyjechała bez ich wiedzy, po to, by zagrać w filmie. Ich gniew malał wraz z kolejnymi listami od córki, która czuła się szczęśliwa, mogąc zagrać główną rolę.

Zdjęcia do filmu trwały dwa miesiące. Była to ciężka, ale fascynująca praca. Każdą wolną chwilę Babcia spędzała z kuzynką Klarą i swym filmowym partnerem – Pawłem. Stanowili zgrane trio. Razem zwiedzali okolicę. Klara doskonale sprawdzała się w roli przewodnika. Wieczory spędzali nad tamtejszym jeziorem. Zażywali kąpiei, prowadzili długie rozmowy przy akompaniamencie gitary. Paweł był mistrzem w grze, Babcia natomiast zabawiała towarzystwo swym aksamitnym głosem i talentem wokalnym.

Pod koniec sierpnia do Franciszkowych Łazni przyjechali pradziadkowie. Wiedzieli, że wkrótce miała się odbyć premiera, więc zrobili córce niespodziankę. Pokazali w ten sposób, że wybaczyli jej wyjazd bez ich wiedzy.



Premiera filmu, pod ostatecznym tytułem „Zwycięstwo Miłości”, odbyła się na 10 września w pobliskim kinie. Babcia udała się na nią wraz z całą rodziną. Dla aktorów i ich bliskich zostały zarezerwowane miejsca w pierwszych rzędach. Paweł pojawił się z narzeczoną. Towarzyszył mu też mężczyzna, który jak się później okazało, był jego najlepszym przyjacielem. Film został nagrodzony przez widzów brawami. Spotkał się z ogromnym uznaniem wśród dziennikarzy. Babcia i Paweł, jako główni aktorzy, zebrali najwięcej gratulacji. Udzielili też sporo wywiadów. Po premierze odbyło się uroczyste przyjęcie, podczas którego reżyser podziękował wszystkim pracującym przy filmie za owocną współpracę. Babcia z łezką w oku wspominała ten wieczór i doskonałą zabawę. W pamięci utkwił jej szczególnie taniec z przyjacielem Pawła. Tańcząc z nim czuła się jak nigdy przedtem. Serce biło jak szalone a ciało poruszało się z taką lekkością jakby unosiło się w powietrzu. Babcia stwierdziła, że ta chwila była magiczna. Mrugała wtedy powiekami. Tak podobno czyni się w pięknych chwilach, aby nigdy o nich nie zapomnieć.

Babcia wspominając przyjęcie, przerwała opowieść. Poprosiła mnie o podanie kuferka. Wyciągnęła z niego afisz, który reklamował film. Widniało na nim jej panięńskie nazwisko. Następnie wzięła do ręki kilka zdjęć.

- To zdjęcia z premiery. Tu stoją twoi pradziadkowie, dalej wujostwo i kuzynka Klara. Na tym zdjęciu jestem z Pawłem i jego narzeczoną – wyjaśniała Babcia, wskazując na kolejne zdjęcia.

Wtedy zrozumiałam, że mężczyzną, którego nie rozpoznałam wcześniej na zdjęciach, był Paweł. Babcia potwierdziła moje przypuszczenia. Autorką większości fotografii była Klara. Wykonywała je podczas zdjęć do filmu oraz spotkań całej trójki.

- Kasieńko a poznajesz tego przystojniaka, który stoi obok mnie? – zapytała Babcia, trzymając jedno ze zdjęć.

- To dziadek – poznałam od razu – Ale jak to możliwe, że był z tobą na premierze filmu?

- Zgadza się wnusiu, to dziadek podczas przyjęcia po pokazie filmu. Zdjęcie zostało wykonane po niezapomnianym tańcu, o którym przed chwilą Ci opowiadałam – odpowiedziała Babcia.

- Czyli dziadek to... przyjaciel Pawła? – spytałam z niedowierzaniem.

Babcia potakująco pokręciła głową, wyjmując z kuferka zasuszoną różę. Dostała ją od dziadka. Wyjął kwiat z wazonu będącego dekoracją na przyjęciu i wręczył Babci, kiedy odprowadzał ją do domu. Już wtedy wiedzieli, że zakochali się w sobie. Babcia opowiadając mi o tym, wiedziała, że była to miłość na całe życie.

Z dalszego opowiadania dowiedziałam się, że dzień po premierze Babcia wyjechała z rodzicami do domu. Z dziadkiem utrzymywała kontakt listowny.

Widzieli się też na ślubie Pawła. Później spotykali się tak często, jak było to tylko możliwe. I tak aż do ślubu...

Jeżeli chodzi o marzenia Babci o aktorstwie to wzięła jeszcze udział w kilku spektaklach w polskich teatrach. Po powrocie z Czech, jak chcieli pradziadkowie, podjęła naukę na Akademii Medycznej. Została cenionym lekarzem. Choć już nie pracuje zawodowo, do dziś zasięgają u niej porady okoliczni mieszkańcy.

Opowieść Babci wywarła na mnie ogromne wrażenie. Nie znałam jej z tej strony. Nigdy nie przypuszczałabym, że była kiedyś zdolna do takiego szaleństwa. Wieczorem, kiedy Babcia skończyła swe opowiadanie, długo nie mogłam zasnąć. Gdy mi się to udało, śniła mi się wielka, pięknie udekorowana sala. Po środku niej para młodych ludzi wpatrujących się głęboko sobie w oczy. Byłam tam i przyglądałam się im z ukrycia, czując ciepło bijące z ich serc.

Wakacje na wsi minęły bardzo szybko. Pomagałam Babci, kąpałam się w miejscowym jeziorze, odwiedzałam rodzinę, która mieszkała w pobliżu. Kiedy przyjechali rodzice, aby zabrać mnie do domu, byłam wypoczęta, opalona i pełna chęci do życia.

- Kasieńko muszę Ci powiedzieć, iż zdaję sobie sprawę, że wyjeżdżając wtedy do Czech bez wiedzy rodziców, postąpiłam nierozważnie. Chcę jednak żebyś wiedziała, że nigdy tego nie żałowałam. Choć film ukazał się w kinach tylko w kilku miastach Europy a ja nigdy nie zostałam aktorką na miarę Brigitte Bardot, to przeżyłam przygodę swojego życia. Spotkałam wielu interesujących ludzi. Jeżeli chodzi o aktorstwo, dużo się nauczyłam. A co najważniejsze, poznałam twojego dziadka, który okazał się tym Jedynym. Potem pojawiła się na świecie twoja mama ... - mówiła Babcia, odprowadzając mnie do samochodu rodziców.

- Tak, wiem Babciu – przerwałam – a potem ja...

- Tak, mój Największy Skarb – Babcia przytuliła mnie – Chcę Ci powiedzieć wnusiu, żebyś zawsze słuchała głosu swego serca. Kasieńko „Pędź na spotkanie przygody nim inni zajmą Twoje miejsce!”

- Obiecuję Babciu – pomyślałam, machając na pożegnanie.

*Anna Ceszke*

## Wokół już tylko chaos

Do gospody wszedł Robert. Wszedł inaczej niż zwykle. Roztaczał wokół siebie aurę smutku i przygnębienia.

- Cześć Robert! - krzyknął karczmarz. Mężczyzna obejrzał się tylko, i przywitał niemrawo. Usiadł do stolika i poprosił szklankę wody.

Karczmarz przywołał do siebie gestem posłańca.

- Co z nim? - wskazał gestem Roberta.

- Zbyttnio nie wiem - zaczął Posłaniec. - Podobno wyrzucili go z pracy. Z portu znaczy się.

- Słuchaj no, pojedziesz konno do przystani i dowiesz się wszystkiego, dobra?

- Mogę spróbować, a nie łatwiej będzie się go zapytać? A w ogóle to co on cię tak interesuje?

- Zapomniałeś, że to mój przyszły zięć - zdenerwował się gospodarz. - Idź lepiej do tego portu i dowiedz się co i jak.

Posłaniec już nic nie mówił, tylko wyszedł z karczmy. Karczmarz poszedł do Roberta, i zapytał się, zabierając pustą szklankę:

- Może coś mocniejszego?

- Chętnie - powiedział Robert, oprócz smutku okazując również przerażenie. - Usiądź na chwilę, jeśli możesz.

Karczmarz usiadł, po czym zapytał Roberta:

- Znowu masz jakieś problemy magiczne? Przecież nosisz ten amulet.

- Chodzi o to, że dzisiaj wpadł mi do morza.

W całej gospodzie zapadła martwa cisza. Po kilku minutach gospodarz zaczął krzyczeć do wszystkich ludzi w karczmie:

- Zawiadomcie straż, burmistrza, czarodziei i w ogóle zwołajcie tutaj wszystkich. I niech nikt nie zbliża się do portu! - krzyczał spanikowany.

- W porcie nikogo nie ma - zaczął Robert. - Był już pierwszy atak. Na szczęście wszyscy przeżyli i już tu idą. Czarodzieje muszą otoczyć barierą karczmę.

- A dlaczego akurat karczmę? - spytał gospodarz.

- Bo to największy budynek w mieście, a poza tym już teraz prawie wszyscy mieszkańcy tutaj są.

Gdzieś w okolicach portu rozległ się huk.

- Już się... yp!... Chyba... yp!... Zaczęło! - skomentował pewien nietrzeźwy osobnik. Inni tylko pokiwali głowami.

\* \* \*

Posłaniec jechał powoli do portu. Po drodze zapalił fajkę, zawsze się przy niej uspokajał. Droga prowadziła przez dość gęsty las, jeździec więc postanowił choć raz jechać wolniej, i rozkoszować się zapachem fajki, i lasu. Koniowi jednak udzielała się chęć pędu i co jakiś czas na złość przyspieszał.

Droga z portu do karczmy była bardzo długa, lecz z uwagi na to że w miasteczku jest tylko jedna karczma, każdy kto chciał się napić i zakosztować "kultury" codziennie przechodził tę trasę. I to właśnie dziwiło posłańca, bo jeszcze nie minął żadnego mieszkańca, lub choćby pijaka. Wyjął z ust fajkę, zgasił ją, i włożył do kieszeni.

Lecz on i koń doczekali się towarzystwa. Nagle zza drzew wyskoczył pędzący powóz konny. Koń podskoczył, zwalając z siebie jeźdźca. Pędzący powóz wjechał na leżącego Posłańca, tworząc dosyć nieprzyjemny obraz. Na pojeździe było około piątki przerażonych ludzi, w tym woźnica. Powóz nawet nie zatrzymał się tylko popędził dalej, w kierunku wioski. Posłaniec powoli wstał i otrząpał się z kurzu.

- Psia mać! Zaraza by to wszystko! Co się tu do diabła dzieje?!

Jak w odpowiedzi zza drzew wyskoczyła zgraja utopców, które okrążyły Posłańca i konia. Małe, śmierzące, zielone stworzenia patrzyły małymi, ruchliwymi oczkami na swoją ofiarę. Była ich trójka, wszystkie prawie takie same. Różniły się tylko rozłożeniem brudu na ciele. Nagle jeden z nich wyciągnął swą płetwiastą rękę w kierunku Posłańca. Ten szybko odsunął się w kierunku konia.

- Ło! ło! ło! Spokojnie... ehm... koledzy. Jesteście głodni? Mam tu konia. Dużego konia.

Żadnej reakcji. Posłaniec powoli rozumiał o co w tym wszystkim chodzi. Szkoda że zrozumiał to tak późno. Próbował niezauważenie chwycić kordelas u swojego pasa, lecz nagle obrzydliwa dłoń utopca wyrwała mu go razem z pasem.

- Hrrrr! Luuuuodź na kooouń - odezwał się swym wodnym głosem najbardziej śmierzący z utopców. Co gorsza, ciągle wypuszczał gazy, i nie było w tym ich zapachu nic przyjemnego.

Posłaniec wsiadł na konia. Mimo nikczemnego wzrostu, utopce były cholernie niebezpieczne, szczególnie dla mężczyzn. Miały bowiem zwyczaj odgryzania niektórych części ciała.

- Zwłazłać glo! - krzyknął inny utopiec, chyba najmniejszy.

Związany już Posłaniec został wepchnięty na konia. Ku jego zdziwieniu, na-

gle poczuł że utopce w trójkę podnoszą konia i jego. Na sam koniec dostał swoim kordelasem w głowę. Zaczęli go nieść w stronę portu.

\* \* \*

- Hej ludzie otwórzcie! – krzyczał jakiś biedak przed drzwiami karczmy.  
- Może go wpuścimy? – zapytał jeden z ludzi w wyraźnie przepełnionej karczmie, który stał przy wejściu.  
- Nie ma co ryzykować – powiedział karczmarz. – A nuż to jakiś szpieg, albo chory? Poza tym to już nie ma miejsca.

Karczmarz miał niestety rację, bo naprawdę, nie wiadomo jakby się starali, i tak nikt więcej by się do karczmy nie wcisnął. Ludzie już i tak ledwo oddychali, tak było ciasno.

Utopce już od kilku wieków zamieszkiwały okolicę portową. Choć nie tyle zamieszkiwały, co spały. Obudzić je mogła tylko magia połączona z wodą. A do tego zalicza się każde zaklęcie rzucone na wodę, w tym także wrzucony do wody amulet. Tak więc utopce, martwi mieszkańcy morza, właśnie się obudziły. Tyle że jak na martwych, to coś strasznie żywi są.

\* \* \*

Port był zwykle dość zaludnionym miejscem, w którym spotykali się mieszkańcy. Dzisiaj było inaczej. Puste sieci rybackie wisały na wpół wyciągnięte z wody. W środku ryb już oczywiście nie było, utopce zdążyły się zadomowić.

Posłaniec nie był zupełnie świadomy tego, co się wokół niego dzieje. Jeszcze nigdy nie widział bestii tak wodnych, jak i lądowych.

Został razem z koniem zaniesiony nad klif. Utopce postawiły go na ziemi i zrzuciły z konia. Jeden z nich zeskoczył z klifu.

Posłaniec, leżąc na ziemi, szybko zaczął się zastanawiać, jak uciec. Przypomniał sobie o fajce. Utopce nagle zaczęły dziwnie się zachowywać. Śmierdzący nagle wydał z siebie straszny ryk i smród. Tyle że ten ryk i smród pochodziły z dolnej części pleców.

- Hlehle gluruuup! - odezwał się drugi. - Tło nic! - powiedział, po czym po puścił jeszcze większą ilość "zapachu".

Więzień bardzo powoli sięgał ręką do kieszeni. W końcu poczuł ręką kształt pudełka zapalek, których zawsze używał do zapalania fajki. Niepostrzeżenie wyjął jedną z pudełka. Utopce, na chwilę odwróciły się do niego tyłem. To mu wystarczyło.

Błyskawicznie zapalił zapalniczkę, podpalił całe pudełko i rzucił nią w kierunku napastników. W tym samym momencie utopce postanowiły dać upust sile,

i obydwu wypuściły swe gazy. Błysk i krzyk utopców. Trawa wokół nich zaczęła płonąć. Posłaniec przeskoczył miejsce, gdzie płomienie były najmniejsze, i zaczął pędzić w kierunku miasta. Obejrzał się i zobaczył dwa ryczące utopce, do których powoli docierał ogień. Były to stworzenia morskie, więc bały się ognia jak najgorszej zarazy.

Uciekinier rozejrzał się i zobaczył drogę prowadzącą w głąb lasu. Nie miał wyboru, musiał nią pójść. Biegł przez moment. Strach dodaje prędkości, lecz niestety tylko na chwilę. Musiał przystanąć na chwilę, aby odetchnąć. Wtedy dopiero spostrzegł to, co go otacza. Nie, nie było problemu ze znalezieniem drogi. Wokół niego wszystko płonęło. Widział wszędzie czerwoną poświatę. To koniec, pomyślał. Gdzie się teraz udam? Nawet jeśli się stąd wydostanę, to dokąd pójde? Nigdy by się nie spodziewał, że w tak smutnej chwili, kiedy zbliża się do niego ogień, który sam rozpałił, poczuje ironię. Bo zawsze wszyscy w wiosce tak bali się wody i utopców. A co go właśnie zabija? Ogień. Wokół mnie już tylko chaos, pomyślał.

- Nie! - krzyknął i zaczął biec przed siebie, byle uciec od ognia. Lecz im dalej był od ognia, tym bliżej, bo płomień go otoczył. Niby piękna figura - koło? Dało ludziom wozy, i mechanizmy. Ale w tym momencie dla niego to przekleństwo.

Posłaniec zdał sobie sprawę że za dużo się zastanawia. Wstał, otrzepał się i spostrzegł, że ogień zaczął się oddalać. Przetarł oczy. Nie oddalać tylko gasnąć. Jak na jego szczęście, to ogień gasiły utopce. Zerwał się. To mogło być możliwe, teraz tylko utopcom zależy na ratowaniu innych, aby potem mogły ich zjeść. Jeśli chodzi o ludzi, to teraz każdy ratuje sam siebie nie zważając na to, że las płonie.

Posłaniec wstał i zaczął po cichu szukać kryjówki. Nagle ziemia pod nim się zarwała i wpadł do wielkiego leju, który kiedyś wyrzeźbiła sobie woda. Czyli kryjówka sama go znalazła. Cały w piasku, wstał i otrzepał się. Zobaczył, że lej jest zbyt głęboki, aby z niego wyjść, ale odpowiedni do schowania się.

Ku jego zdziwieniu, nagle w kącie wśród piasku coś się poruszyło i zakaszłało. Była to kobieta. Wstała i otrzepała się. Odgarnęła delikatnie włosy do tyłu i wtedy go zobaczyła.

Stali przez chwilę i wpatrywali się w siebie. Uważnie patrzeli na każdy szczegół. Choć tych zbytnio nie było, przez bród, który zalegał na spoconych ciałach. Była dosyć ładna. Twarz miała bladą i pełną okaleczeń, ale spod tego wszystkiego patrzyły na Posłańca piękne, zielone oczy. Posklejane, długie i ciemne włosy, opadały bezwiednie na wąskie ramiona. Miała na sobie podartą nocną koszulę i, o dziwo, pas zapięty na biodrach, u którego wisiał tępy sztylet i coś przypominającego linę.

- Eeeee... Witam - Posłaniec odezwał się pierwszy. - Co tu robisz? - zdał sobie sprawę jak głupie pytanie zadał. Uśmiechnęła się, ukazując nieco większy niż zwykle kiel.

- Zgadnij?

Przez chwilę patrzył się na nią. Miała w sobie coś takiego, że albo się ją kochało, albo nienawidziło. Nie było stanów pośrednich.

- Wybacz mi to pytanie. Tyle się dzisiaj dzieje, że nie panuje nad sobą...

- Widać, do tej pory nie powiedziałaś nic konkretnego.

- Przepraszam - odwrócił wzrok. - Wpadłem tutaj uciekając przed grupą utopców. Chociaż właściwie to uciekając przed ogniem, które one chyba gasiły.

Posłaniec usiadł na ziemi i złapał się za głowę. Siedział tak przez moment, w milczeniu.

- Wszystko mi się płacze. Niby spełniam swoje marzenie, ale przez to dzisiaj prawie dwa razy bym zginął. Zawsze marzyłem o tym, aby zostać posłańcem...

- Opowiedz - powiedziała, uśmiechając się dziwnie i błyszcząc kłami.

\* \* \*

- Nigdy nie wyrwiesz się z tej dziury - mówił mi zawsze mój ojciec. Ale puszczałem to mimo uszu i zawsze marzyłem o tym, aby podróżować i przeżywać przygody. Wiem, że to dosyć dziecinne, ale tak chciałem żyć.

Do czasu aż skończyłem szesnaście lat, nie mogłem nawet śnić o wyrwaniu się z mojej wioski i zostaniu posłańcem, który przemierzałby na koniu dalekie miejsca i walczył z przeciwnościami. No i kiedy skończyłem te szesnaście lat, do wioski przyjechał pewien wysłannik króla, poszukujący chętnych do pracy posłańca. Potrzebowali go od zaraz, więc nie musiałem mieć żadnych kwalifikacji. Ku mojemu zdziwieniu, dostałem pozwolenie rodziców. Problem w tym że chętnych było za dużo, a było tylko jedno wolne miejsce. Ale nie chciałem pozwolić, aby ktoś inny zajął moje miejsce, moja szansa na przygodę. Jedynym rozwiązaniem była walka. Pokonałem wszystkich w... no dobra, nieuczciwej walce, bo skorzystałem z pomocy pewnej zielarki. Dała mi wywar, który wzmocnił siłę moich mięśni. Co prawda wzmocnił, powodując potem również zawroty głowy i biegunkę.

Wyruszyłem więc ze swoim Mistrzem na szlak, zaglądając do różnych miast i wsi. Tam zostawialiśmy wiadomości i polecenia, od królów i właścicieli ziemskich. Podobała mi się ta robota. Potem dowiedziałem się o jeszcze innej formie pracy posłańca. A mianowicie, zatrudnianie się u zamożnego człowieka w mieście na jakiś czas. Był to miły odpoczynek i odmiana po długich wyprawach, ale i zarobek mniejszy. Po prostu roznosiło się wiadomości i listy na mniejszą skalę.

Aż po trzech latach bycia posłańcem, zatrudniłem się u pewnego karczmarza w wiosce, w której podobno kiedyś pojawiły się utopce. Nasłuchałem się już tylu legend, że nie chciało mi się wierzyć w kolejną bajkę. I to był mój błąd. Spełniłem moje marzenie, chyba kosztem śmierci.

- ...Teraz siedzę tu z tobą, czekając na niemożliwe. Na ratunek.

- Myślę, że grubo się mylisz i masz dużo szczęścia - powiedziała, po czym ku jego zdziwieniu, błysnęła zębami i ugryzła go w szyję. Poczuł ogarniający go chłód. Powoli tracił przytomność. Usłyszał jeszcze jej słowa.

- Przestań użalać się nad sobą, kapewu?

\*\*\*

- Hej! Jest tu kto?! - krzyczał karczmarz. Razem z nim szedł tłum ludzi.

Posłaniec obudził się. Przypomniawszy sobie wszystko. Szybko spojrzawszy na leżących wokół siebie wampirzycy już nie było. Zaczął się zastanawiać, nad jej ostatnimi słowami, które usłyszał "Przestań użalać się nad sobą, kapewu?". "Dobrze" odpowiedział sobie w myślach.

Wstał i zaczął masować bolącą głowę i szyję. Na szyi, o dziwo, nie było krwi. Nawet nie czuł żadnego śladu po ugryzieniu. "Co tu się działo?" - pomyślał. Tego nie wie nikt.

Nagle z góry usłyszał głos karczmarza.

- No już! Pora wstawać! Wyłaż na górę, niebezpieczeństwo zażegnane. Czarodziej Klemens z powrotem założył blokadę na utopecie. Widzisz, a ty nam nie chciałeś wierzyć.

Wyszedł. Nie widział żadnych śladów pożaru... Co się działo poprzedniej nocy? Może to był jakiś znak? A może, nie... Lecz dopiero teraz Posłaniec uświadomił sobie, że spełnił swoje marzenie, przeżył przygodę, pokonując innych chętnych na to miejsce. Zdał sobie sprawę, jak wielkie spotkało go szczęście...

**Mateusz Wasilka**



*Renata Sulik – Słupsk*



## **„Pokonać siebie”**

Komórka zaczęła dzwonić o czwartej rano. Pospiesznie wyłączyłam natrętne, acz użyteczne urządzenie. Nadal byłam otumaniona snem, ale wiedziałam dobrze, że nie mogę się spóźnić na pociąg, który odjeżdża punktualnie o piątej. W tempie sprinterskim umyłam i ubrałam się, a także usmażyłam jajecznicę, która jest jedynym daniem, które naprawdę mi wychodzi. Uporałam się nawet z mocno znoszonymi butami, które nie chciały dopasować się do moich stóp. Kilkakrotnie naszły mnie wątpliwości, czy to dobry pomysł. Jednak słowo się rzekło, idę. Wyszłam z domu w pół do piątej, żegnając się z rodzicami klasycznym „Pa, pa.”.

Zdziwiłam się, gdy poczułam, że wcale nie jest mi zimno, można powiedzieć więcej, było ciepło. Kroczyłam doskonale znaną trasą. Jakże wspaniała jest moja miejscowość po czwartej, właściwie bez ludzi i bez ogólnego zamętu.

Na przystanku zaskoczyła mnie obecność grupy młodych ludzi z plecakami i to w niedzielę! Czy oni też...? Na pewno, co niby innego mieliby robić o takiej porze.

Na dworcu zjawiłam się piętnaście minut przed czasem, to znaczy wycucie, ale i tak lepiej wcześniej niż później. Bezsensowne krążenie po peronie w rezultacie skończyło się utratą kwadransu, co mnie ucieszyło. W międzyczasie na dworzec przyszły trzy nowe osoby: starszy mężczyzna w garniturze i dwie kobiety. Ciekawe jest, jaki jest cel ich podróży? Kto jeździ pociągiem o piątej rano? I kto o to pyta? Osoba, która zamierza pojechać tym kursem.

Wreszcie kolej nadjechała. Świadomie wsiadłam do drugiego wagonu, który był niemal pusty. Wybrałam ciszę i spokój i po części samotność. Prawie natychmiast wyciągnęłam książkę, którą przeczytałam, choć uważam, że jest płytka. Gdy zacznę czytać cykl, muszę go skończyć. Oto jedna z moich wad, ale może i zaleta. Kto powiedział, że cała saga musi być zła, jeśli pierwsza jest?

Po jakimś czasie dosiadła się do mnie kobieta z plecakiem. Tego dnia ze względu na cel mojej podróży moje oczy wyłapywały torby takiego rodzaju. Jednak to nie mógł zbieg okoliczności, że dziesięć osób jedzie pociągiem w niedzielę po piątej, mając ze sobą plecaki.

Zanim się obejrzałam, była już szósta dwadzieścia i wysiadałam w Gdańsku. Miasto było niesamowicie puste i spokojne, mimo rześistego deszczu. Jedno py-

tanie wyrwało mnie z rozmyślań. Gdzie jest dworzec PKS? Tata tłumaczył mi, jak do niego dojść, ale ze wstydem przyznaję, że zapomniałam. Zapytałam się pierwszej napotkanej osoby:

- Przepraszam, gdzie jest dworzec PKS?

- Na dół po schodach, potem w prawo i ruchomymi schodami do góry – odpowiedziała kobieta.

- Dziękuję – powiedziałam, uśmiechając się.

Dopiero dwadzieścia pięć minut po szóstej. Kontynuowałam poszukiwania osób z plecakami. Krążyłam, widziałam bezdomnych śpiących na dworcu, czytałam rozkład jazdy, żeby zabić czas. Wreszcie, po dostrzeżeniu kilku osób kierujących się ku wyjściu z podziemi, wpadłam na pomysł, że mogłam pomylić miejsce zbiórki. Udałam się za tymi osobami. Zobaczyłam grupę ludzi i rower. Upewniłam się, czy trafiłam we właściwe miejsce:

- Zbiórka na pieszą Wyrypę?

- Tak – odpowiedział młody mężczyzna, a po chwili się przedstawił. Okazało się, że to mój opiekun, który zarazem był przewodnikiem grupy.

- Jestem Alicja – przerwałam mu.

Wtedy zrozumiał, że to mnie ma pod opieką. Standardowo zapytał się o potrzebne dokumenty, a ja mu je wręczyłam.

Zaczęli się schodzić następni uczestnicy, ci bardziej otwarci witali się, ci mniej nie robili tego. Odbyło się falstartowe rozpoczęcie marszu, a tuż po nim właściwe. Zastanawiałam się, czego zapomniałam i teraz dowiedziałam się, że nie wzięłam płaszcza przeciwdeszczowego.

Przewodnik poprosił mnie, abym starała się trzymać przodu, kiwnęłam. Tak czy siak od początku wiedziałam, że będę szła u czoła grupy, po prostu instynkt samozachowawczy. Zaczęło się. Wiele razy zastanawiałam się, jak to będzie wyglądało i teraz się dowiedziałam.

Narzucone tempo było szybsze od pielgrzymkowego, czyli od sześciu kilometrów na godzinę. Schody, na które wchodzenie wydało mi się bezsensowne, okazały się sprawdzianem wytrzymałości. Coś w stylu, jeśli teraz nie wytrzymujesz, nie idź dalej, później nie będzie łatwiej.

Odwiedziliśmy na cmentarzu grób założyciela klubu i ruszyliśmy we właściwą drogę. Wchodziliśmy do lasu, po to, aby po chwili go opuścić, jednak niedługo potem straciliśmy kontakt z cywilizacją. Zostaliśmy sam na sam z naturą. Czy to dobrze dla mnie? Nie jestem do końca pewna, jestem dzieckiem wychowanym na obszarze gęsto zaludnionym, czuję się bezpieczniejsza, słysząc turkot samochodów czy inne odgłosy miasta. Nie wiem, co może mnie czekać w środku lasu.

Mimo pagórków i ciągłego wchodzenia i schodzenia z nich zachowaliśmy tempo. Moje serce znacznie przyspieszyło swoją akcję. Cały czas padało, podło-

że nie ułatwiało chodzenia. Z trudem zachowywałam pionową pozycję. Kałuże i błoto to widziałam, gdy spjrzałam w dół. Moi kompani byli zróżnicowaną grupą, szli mężczyźni i szły kobiety, ludzie młodzi i w starszym wieku, byli różnego wzrostu, mieli włosy i oczy różnych kolorów, a także najprawdopodobniej wykonywali różne prace. Większość trzymała się w zwartej grupie.

Z czasem zaczęłam sobie stawiać pytanie, po co idę? Nasuwały się różne odpowiedzi. Lubię chodzić. Chcę sobie udowodnić, że potrafię to zrobić. Chcę skosztować różnych aspektów życia. Pragnę oderwać się od świata. Nie ma jednej poprawnej odpowiedzi, jak na pytanie o datę bitwy pod Grunwaldem. Czasem robię coś, nawet nie wiedząc, po co. Myślałam, aby zapomnieć o bólu, trochę jak pijaczyna z „Małego Księcia”, tylko, że on pił, żeby zapomnieć, że się wstydzi.

Pierwszy postój wcale nie przypominał tych z pielgrzymki. Przystanęliśmy ledwie na siedem minut, aby odzyskać siły. Usłyszałam, że przeszliśmy już sześć kilometrów. Jeszcze rok temu, taka odległość byłaby dla mnie nie do pomyślenia, ale teraz to się zmieniło. Określony czas minął i zaczęliśmy iść dalej.

Droga bardzo przypominała poprzednią, ale było ciężiej. Czułam, jak tworzą mi się pęcherze na stopach, znam to uczucie, ale idę dalej, nie poddaję się. To nie w moim stylu. Patrzyłam na innych, zdecydowanie starszych ode mnie, których też pewnie coś boli, ale nie tracą werwy i idą dalej. Zaczęłam myśleć o odwodnieniu, nie piłam podczas postoju, aby uniknąć nieprzyjemnej czynności załatwiania się w lesie. Przeszywało mnie zimno, buty miałam mokre od wewnątrz.

W pewnej chwili poślizgnęłam się i upadłam, brudząc spodnie, a nie łamiąc nogę. Na szczęście. Po pewnym czasie odpoczywaliśmy na opuszczonej stacji benzynowej. Jeszcze nigdy takiej nie widziałam. Musiała zostać zamknięta w ciągu kilku ostatnich lat, przynajmniej na taką wyglądała. Usiadłam na chodniku koło, jak przypuszczam, małżeństwa, które było tak miłe, że zaproponowało mi, abym napiła się ich ciepłej herbaty. Z początku odmówiłam, ale nalegali, więc się napiłam. Poczułam rozchodzące się po moim ciele ciepło, tak jakby ten napój zaczął płynąć w każdej żyłce. Od razu poczułam się lepiej. Zaczęłam iść z nową energią, bardzo pozytywną. Ból czy pogoda nie wydawały się już aż takie straszne.

Przystanęliśmy jeszcze kilka razy. Czekaliśmy też na przejściu dla pieszych na kilka osób, które się zgubiły, dotarła do nas tylko jedna, a dlaczego? Podobno jedna z nich miała zamiar iść tylko do pewnego odcinka i celowo zmyliła drugą osobę, aby iść z kimś. Ludzie bywają zaskakujący. Został jeszcze kawałek drogi do ogniska. Niestety ciągnął się niemiłosiernie. Prowadził rzadko uczęszczaną trasę.

Gdy wreszcie dotarliśmy, ogarnęło mnie uczucie ulgi, mam już za sobą dwadzieścia sześć kilometrów, tylko dwadzieścia przed sobą. Jako grupa dotarliśmy

ostatni, po kolarzach i pieszych idących z przeciwnego kierunku. Szybko przystąpiłam do pieczenia kielbaski. Nieczęsto biorę udział w ogniskach, więc moja wiedza na temat opiekania w takich warunkach jest ograniczona. Z jednej strony moja kielbaska była przypalona, a z drugiej niemal surowa. Jednak smakowała bardzo dobrze.

Niczym błogosławieństwo Boże tuż przed dalszym odcinkiem przestało padać. Ruszyliśmy około godziny drugiej po południu. Nogi same niosły, jednak nie trwało to długo. Dało się we znaki zmęczenie wielogodzinnym chodzeniem. Walczyłam o każdy krok. Nie pozostawiłam sobie żadnego ultimatum, musiałam dojść. Dalej trzymałam tempo.

Wreszcie weszliśmy na górę Donas. Znajdowały się tam ławki, mieszczące akurat wszystkich uczestników marszu. Od razu po tym jak usiadłam, zaczęłam się mocować z plastikową butelką. Nie chciała puścić za żadne skarby świata. Próbowałam z każdej strony, pod każdym kątem i z każdą siłą, ale zakrętka i tak ze mną wygrywała. Popatrzyłam na inne osoby, poprosiłam o pomoc starszego mężczyznę siedzącego tuż obok mnie. Gdy na niego spojrzałam, od razu poczułam, że mam do niego zaufanie. Zapytałam:

- Czy mógłby pan mi pomóc otworzyć butelkę?
- Tak, oczywiście – odpowiedział bez chwili zastanowienia.

Podałam mu pojemnik. Też się starał i też poległ. Inny mężczyzna widząc to, również spróbował, ale nie udało mu się. Ktoś zaproponował, żeby przeciąć zabezpieczenie, po chwili znalazł się scyzoryk. Napój płynął, ale zakrętka dalej się nie odkręcała. Kolejna osoba pożyczyła rękawiczki gumowe, które ostatecznie przyczyniły się do otwarcia butelki. Ktoś zażartował, że była to praca trzech osób i dwóch narzędzi. Wszyscy zaczęli się śmiać. Ten humorystyczny incydent pomógł mi w dalszej drodze. Nie wydawała się już taka straszna.

Na ostatnich odcinkach coraz częściej się zatrzymywaliśmy, gdyż część grupy zwolniła i znacznie się oddaliła, a niektóre zakręty były trudne do zauważenia. Powoli zaczęło się ściemniać. Szliśmy lasem, więc nie można było się spodziewać latarni oświetlających trasę. Musieliśmy radzić sobie sami. Tylko przewodnik miał latarkę, więc nikt nie miał prawa go wyprzedzać, ale nikt chyba i tak nie zaryzykowałby zgubienia się w lesie. Zostało tylko pięć kilometrów, ale ja z minuty na minutę byłam coraz słabsza. Nogi stawiały opór, a ja zdawałam się odpływać, jakbym zaraz miała zemdleć. Na długiej drodze pod górę znacznie się oddalałam od czoła, nie byłam na samym końcu, ale byłam w wyrwie między dwoma grupami. Przy jednym z zakrętów zaczęłam się zastanawiać, czy dobrze idę. Graniczyło to z panicznym lękiem. Sama w lesie po zmroku?! Jednak dobrze wybrałam.

Ostatnia górka okazała się katorgą. Co chwilę się zatrzymywałam, ale wiedziałam, że u góry czoło grupy przystanęło. Gdy pokonałam ten odcinek byłam

tak wykończona, że nie rozumiałam, co do mnie mówią. Na moje szczęście została jeszcze tylko równina. Zwyciężyłam siebie i wyszłam z lasu razem z grupą. Wtedy kilkaset metrów chodnikiem i meta. Gdybym miała to w zwyczaju, to popłakałabym się ze szczęścia na koniec. Jednak tylko uśmiechnęłam się do siebie, pokonałam siebie, tylko to pomyślałam. Dochodziłam do peronu i usiadłam na dobre pół godziny. Po kilku chwilach przyszedł mój opiekun z przyjacielem, jechali w tę samą stronę, co ja. Przewodnik powiedział do mnie:

- Gratuluję ci.

W odpowiedzi uśmiechnęłam się. Byłam najmłodsza w mojej grupie i doszłam, po prostu coś pięknego. Wsiadłam do pociągu, stałam pół drogi, ale nie byłam niezadowolona. Rządziły mną inne uczucia, a szczególnie radość. Podróż zakończyła się w mojej miejscowości. Stałam na tym samym peronie, co szesnaście godzin temu, cała umazana błotem i zmęczona, ale szczęśliwa. Pokonałam czterdzieści sześć kilometrów w jeden dzień.

***Paulina Richert***



*Jadwiga Ziomek – Słupsk*

## **Chłopaki, schodzę do podziemia!..**

Dziś zajarzyłem - niczym tele-cielec,  
przed którym pokłon postmoderna czyni,  
w innej orbicie – zderzyć z życiem - życie  
- gdy tu pudrują AIDS, trąd & syfilis.

Chłopaki! Wykopałem VIS-a dziadka  
i na plamiaki dżinsy już zamieniam  
- cyrkiel, busola - dobra stara mapka...  
Chłopaki! Schodzę do podziemia..!

Już pokochałem ciemny wokół las  
- przecież dokoła i tak zawsze – ciemno...  
potrzeba kilku – zbędność tłuszcz i mas  
- do łap giwery i ruszajcie ze mną.

Małe podłogi drobnym sieczmy śrutem  
- nie to istotą naszej rewolucji  
- skutek pod płótem zdechnie z braku tlenu...  
Na cele weźmy – mózgi instytucji..!

Za bezcen bezecnicy już oddali  
- cokolwiek warte w Rzeczpospolitej Pomroczonej  
- temu i po to - idzie europotop  
a poszedł na dno Titanic – polskich stoczni.

Prawda dziś trudna, zeszmacona, brudna  
- weźmy biedaczkę zaraz wprost do łaźni  
trzeba dziś tory przez nowe pchnąć zwrotnice  
- wysadzić mosty zbiorowej wyobraźni!

Paragraf knebla już jest na wolne słowo  
- i nim legalnie nas wykończy banda  
- cóż – w gównie można umrzeć – również...  
maszt kręgosłupa niechaj dźwiga sztandar.

Jak robić wapno z internetnych mózgów?  
- w Google – mnie też grabie wasze nie pochwycą  
- piszcie po murach, górach jak i chmurach...  
Dokładnie tam gdzie znajdziesz - T – z kotwicą.

Chłopaki! Wykopałem VIS-a dziadka  
i na plamiaki dżinsy już zamieniam  
- cyrkiel, busola - dobra stara mapka...  
Chłopaki! Schodzę do podziemia..!

.....

Może to wszystko – tylko metafora  
- w przygodzie z życiem – miej Poezji - kartę  
„Dopóki walczysz – to wtedy wygrasz!” \*  
Życie bez walki – jest niewiele warte...

***Tadeusz Buraczewski***

\* - *tak mawiał św. Augustyn z Hippony*

## Widziano go...

... jak rzucił monetę ulicznemu grajkowi  
pytając czy zna coś z Dylana –  
- prawie uciekał słysząc „Blowing in the wind”  
(z kropli powstałeś – w ocean się obrócisz)  
czuł łopot czarnej flagi uwiązanej do kręgosłupa  
gdy szedł tak wtłumiając się w tłuszczę  
w gwar w grzechot szklanych paciorków  
w szyk i wizg w orgię trendowo trądzającej dookolności ...  
widziano go –  
jak potem w tunelu dworcowym pospiesznie pisał spray`em:  
„a mury rosna...” więc „poezja to ...” nie dokończył bo  
dojrzeli go SOK-iści – widziano go jak uciekał  
meandrując wśród coolowych mandryli płci obojga  
w seksownie przecieranych przyodziewkach  
i słomianych adidasach marki „Najki & Chochoł”  
mamrocących do bananów(z możliwością wyboru dzwonek)  
widziano jak odjechał kolejką SKM  
- jak kupił tanie wino i jak szedł krawędzią fali i piachu  
jakby z obłokiem na smyczy (ręką w górze parodiował „V”)  
- jak włożył coś do pustej butelki i ...  
jak później wracał do epicentrum erupcji i trzęsienia wyobraźni  
by znowu przecierać się  
pod prąd magmy i bez względu  
jak łosoś na tarło – jak pilnik nad imadłem  
widziano go jak coś czytał - uśmiechał się i ...  
jak położył potem foliał na zabytkowym średniowiecznym  
pręgierzu koło ratusza  
jak wszedł do księgarni  
jak odnalazł w II-gim tomie encyklopedii stronę  
gdzie pomiędzy Honolulu i honować  
- nie znalazł słowa – Honor  
Bóg – Honor – Ojczyzna – odnalazł przerzucając strony  
- trójkąt bermudzki – niepodległość trójkątów- Witkacy  
jak później wszedł do kościoła pustego



o każdej porze, z którego wyprowadził się Bóg  
widziano - jakby się modlił  
czyżby prosił - by mieć to wszystko  
jakby mógł dostać to... w promocji...

.....  
Dostał...+ małą ojczyznę – gratis..!  
widziano go  
w okolicy Starogardu na pustkowiu gdzieś koło leśniczówki  
„Kochanki” jak śpiewał przy ognisku Dylana...

**Tadeusz Buraczewski**

\* \* \*

Świat jest powtarzalny  
Jak siedem grzechów głównych  
Jak gotyk renesansujący w barok  
W część DNA architektury  
Wszystko już było  
I wszystko jeszcze będzie  
Jak kłamstwo, koło czy moda.  
Z Cafe „Jerycho” sączy się trąbka  
Dizzy Gillespie - i nim mury runą  
Opisze je spray`em młody ewangelista:  
„Bóg już w nas nie wierzy...”  
Można przekornie zrobić krok wstecz  
Nic więcej cofnąć się nie da...  
...ani jednego z siedmiu... głównych...  
Jałowiec wejherowskich wzgórz taki jak na Synaju  
Doliną Jozafata meandruje tak tam jak i tu – Cedron.  
Krętą kalwaryjską drogą  
Pielgrzymują potomkowie Ludwika Weyhera  
(w linii prostej)  
Świat jest genetycznie powtarzalny...

**Tadeusz Buraczewski**

## **zaułek**

gubię się na krótko  
w zaułku starej uliczki  
ciemnej i wąskiej jak korytarz  
dotykam skroni  
chcę odpocząć

dopada mnie gwar miejskiego wrzasku  
zapach wanilii i cynamonu  
gorzkich cytrynowych liści i egzotycznych korzeni  
ogarniam wzrokiem ciepłe spojrzenia  
oliwkowych figurek i ich cienie  
w szybie sklepowych ram  
które mijam  
dobiegając do placu  
co słońcem się zarumienił  
jak stołu nowy blat

piękny dzień w Jerozolimie  
pozostanie tak bardzo rzeczywisty  
że trudno oprzeć się zdarzeniom  
nawet tym mało istotnym

słowa świętych ksiąg  
uczynią trwałe ślad  
jak wryte linie  
na białym ociosanym kamieniu z piaskowca  
w murze pośród parkanu z wysokich drzew  
gdzie urzekający rozległy widok  
zmieszał się na krótko z wyobrażeniem  
pojawiającym się mimo woli

***Teresa Mielewczyk***

## *pustynia*

onieśmielona  
krajobrazem rozległym i pięknym  
zapominam że jestem sama  
dopiero po chwili  
zanurzam się w tajemnicy  
obecności wielu  
którzy byli tu przede mną

idę lekko wydeptaną ścieżką  
przez nieuwagę ześlizguję się ze zbocza  
ocierając tylko dłonie  
patrzę w bezkresną przestrzeń  
jeszcze nie zginął mi z oczu jelonek  
co zwinnie przebiegł  
zostawiając ślad lekkich kopytek  
niedługo zapadnie zmierzch

ocienione oazy w dolinie  
zielenią się pędami młodej trawy  
chciałabym ich dotknąć  
poczuć rześki chłód

wracając z krótkiej wyprawy  
po pustyni Judzkiej  
podnoszę kamienie ze stoku  
gładzę rękami  
uwalniam od piasku  
chowam do kieszeni  
będą mi przypomnieniem  
którego jeszcze nie pojmuję

***Teresa Mielewczyk***

## ***powrót***

chciałabym ocalić w pamięci  
nie tylko garść wspomnień  
o świętej ziemi Zbawiciela

czasem nawet lękam się  
że wszystko ze mnie uleci  
co powiem tym  
którzy pozostali w domach  
czekają na mój powrót  
będą zadawać pytania  
czy odnajdę właściwą treść  
aby nie ranić  
wielosłowiem i paplaniem  
brakiem zamilczenia

robię wiele fotografii  
w zeszycie zapisuję zdania  
kupuję pamiątki

zdruzgotana niemożnością  
opanowania własnych słabości  
uciekam i wracam  
wsluchuję się na nowo  
próżne moje starania o każdą cząstkę

wszystko potem jest inne  
zanim otworzę przestrzeń  
tę między ustami i sercem  
otrzymuję jeszcze więcej  
jakbym miała przed sobą czerpak

***Teresa Mielewczyk***

## **Licytacja moich myśli**

Odkrywcy galaktyk nie pomyśleli  
żeby tę najbliższą z nich  
zarezerwować dla mojego kraju  
a przy okazji i dla mnie  
Mam dość złudnych miraży  
i fortun wygrywanych przez szczęśliwców  
którzy mogą sobie pozwolić  
na wypicie herbaty  
podanej przez Gejszę w dalekiej Japonii  
czy podziwianie florenckich malowideł  
i tym którym gondolierzy śpiewają rzewne pieśni  
w przepięknej Wenecji  
która kruchością przypomina kwiat lili  
W każdym człowieku tkwi pokusa zwiedzania świata  
i te pragnienia jak pochodnie  
oświetlają prozę życia  
Mnie musi wystarczyć zauroczenie gdańskim Neptunem  
i warszawską Nike  
oraz wejherowską Starówką  
i uroczym ryneczkiem z fontanną i gołębiami  
Licytacja moich myśli nie pozwala mi zapomnieć  
o duchowej Stolicy Kaszub  
czyli o Wejherowskiej Kalwarii  
Z moim miastem zawarłam poufny pakt  
który oznaczam szyfrem M M D

***Maria Magdalena Grzezińska***

*Styczeń 2009*

## **Chwile wyrwane z codzienności**

Moje miasto Wejherowo pokazuje mi  
swoją cywilizowaną twarz z radością odkrywam nowe zakątki  
których wcześniej nie znałam bajkowość ich wyzwala we mnie  
miłe i radosne uczucia  
a historia miasta skłania do refleksji  
Wracam z miłej eskapady  
pełna wrażeń i emocji  
podziwiam drzewa w zielonych parasolach liści słońce figluje  
w krzewach jaśminu i purpurowej róży  
a trele ptaków brzmią jak najpiękniejsze melodie walca wiedeńskiego  
jest miło i pogodnie i chce się po prostu żyć

***Maria Magdalena Grzezińska***

## **Spotkania z przyrodą**

Wybrałam się do lasu na spotkanie z sosnami  
Wiatr pachnący igliwem owiewa moją twarz  
Promienie zachodzącego słońca zabarwiają świat na różowo  
Na tle nieba rysuje się cień przelatującego samolotu  
A ja marzę by polecieć lub popłynąć i nie dbać o bilet  
Ale cóż rzeczywistość ściąga mnie na ziemię  
Gorące piaski i bajeczne rafy w Egipcie nie są w zasięgu mojej kasy  
Wody Morza Czerwonego kryją przepiękne rafy koralowe  
A ja mogę je oglądać tylko na filmie  
Ale i tak są one godne zachwytu  
Niezatartych przeżyć dostarcza mi przyroda  
Która na każdym kroku obwieszcza swoje piękno  
Ileż uroku i dostojności jest w drzewach  
Które stoją dumnie i niepokorne  
A ja nazywam je swoją Opoką  
Pragnę aby one trwały w Nieskończoności Boskiej  
Mój bieg po przygodę z przyrodą  
Jest maratonem mego życia  
I tak będzie do końca moich dni

***Maria Magdalena Grzezińska***

### ***Czas przygody***

Na pewno pamiętasz baśnie,  
rycerzy, żelazne zbroje,  
między rodami waśnie,  
królestw ciągłe podboje.

Krainy tak niebezpieczne jak zachwycające,  
lasy, puszcze, pustynie,  
liany w dżunglach tańczące,  
wysokie wieże, mury, świątynie.

W snach przenosisz się do starożytności,  
toczysz bitwy, ratujesz poddanych,  
masz w sobie wiele wytrzymałości,  
sił nikomu dotąd nieznanym.

Kolejny sen to wyspa bezludna,  
ty, ogień, drewno i woda,  
droga do przetrwania jest niezwykle trudna,  
jednak dla ciebie to wielka przygoda.

Na siebie samego jesteś skazany,  
własnymi rękoma swój dom budujesz,  
bez lekarza leczysz swe rany,  
zjadasz to, co sam upolujesz.

Później budzisz się i wstajesz,  
przygody tylko w wirtualnym świecie,  
pilota kosmicznej załogi udajesz,  
niszczysz potwory grożące planecie.

Dziś jesteś kowbojem, jutro Eskimosem,  
przemierzasz świat od biegunów do równika,  
znudzony swym monotonnym losem  
grasz wielkiego wojownika.

Wciąż w monitor zapatrzony  
nie zauważasz zmian w przyrodzie,  
las z dzieciństwa w osiedle zamieniony,  
od lat wielu nie byłeś w ogrodzie.

Wciąż jeszcze czekają nieznanne tereny,  
wciąż możesz je odkrywać,  
żyć bez kabla i bez anteny,  
sam trudności pokonywać.

Na dżunglę zamienić wakacje na plaży,  
podróżować nie tylko przy komputerze,  
na choć jedną przygodę się odważyć  
zanim człowiek naturę zabierze...

***Marta Szmytke***



*Longina Wysocka – Wejherowo*



## **Z lotu ptaka**

Dachy Wejherowa  
różnią się od dachów Kwidzyna.  
Tamte krajobrazy  
kryją w sobie młodość.  
Odbyłam tam tego lata  
wspaniały lot nad katedrą.  
A miłość? Co z nią?  
Odtwarzam nas na ekranie pamięci  
Widzę dni i noce  
szczególnie noce  
nie miały sobie równych.  
Spaliłeś moje wiersze. Tak trzeba było  
Tak chciała ona.  
Czas mija. Nie ma stop klatka.  
Przeszłość to ziarno  
Mieszkamy w krajobrazach jutra.  
Ale wspominamy.  
Jak ptaki wracamy do miejsc.

***Anna Wiśniewska-Richert***

## **Z głębi moich oczu**

Tak  
Właśnie tak ma być.  
Pierwszy dach nad głową  
„Maxim” w Kwidzynie.  
Wtedy nim nie był  
a teraz jest.  
Potem dom nad torami  
gdzie ojciec karmił z okna  
koniną psa o przyciętych uszach  
I dawał ludziom dobre rady  
Które oni zamieniali na lekarstwa.  
Teraz dom dziadka.

Po nim go mam – i serce do ludzi.  
Czas płynie  
Botox pomaga i radość.  
Z głębi moich oczu ktoś patrzy  
tak uważnie  
I się uśmiecha  
Też się uśmiecham. Ufam mu.

*Anna Wiśniewska-Richert*

### **Sen o sułtanie**

Myśl  
prześciga prędkość światła  
Myśl  
ma zielone oczy, brązowe włosy  
jak ja.  
Kiedy tu w Polsce, myślę o Tobie  
Otwierają się drzwi czasu  
Rozwiera się błękitne jezioro przestrzeni.  
Już widać Twój ogród i pałac  
I widzę, jak siedzisz, zamyślony, na tronie.  
Ci, którzy myślą, że nie masz trosk  
są głupi  
Chociaż nie są to zmartwienia o płatności.  
Ci, którzy nie widzą, że szukasz miłości  
są ślepi.  
Czy nie widzą jak drżą Twoje dłonie?  
Nie szukaj, Panie, spokoju w niebezpiecznych używkach  
a przyjaciół nie wybieraj wśród pochlebców.  
Oni pierwsi uciekną kiedy ruszy fala.  
Twoje serce moje uspokoją dłonie  
Wiesz to, kiedyś to wiedziałeś.  
Pierwszy człowiek, co go świt wprowadzi  
List ode mnie niesie, Ty go nie przeczytasz.  
Wrzucony do ognia spali się jak życie.  
Pierwej gwiazdy się zejda, nim się znów spotkamy  
Kiedyś przed wiekami  
Znałeś mnie sułtanie...

*Anna Wiśniewska-Richert*

## **Miłość Bliźniego**

Miłuj Bliźniego twego  
aż spadnie koszula z niego.

Jak spadnie z jednego  
to szybko bierz się za drugiego.

Tylko pilnuj żebyś trafił bogatego,  
bo z czego obskubiesz biednego.

Udawaj żeście przyjaciele  
to skorzystasz i wiele.

Dowiesz się ile i gdzie konto ma,  
co i ile dzieciom da.

Udawaj że się coś tam nie udało,  
albo jakieś nieszczęście spotkało,

Żeby się coś pożyczyć od przyjaciela udało.  
Najlepiej żeby nigdy ale to nigdy nie oddało.

Bo u przyjaciół i tak bywało,  
że się tylko pożyczają.

Jak rodzinę się uważało,  
Oby się przyjaciel nie zorientował.

I z tej Przyjacielskiej Miłości  
mnie porachował kości.

***Dorota Myszk***

## **Nowy bohater**

Czyż nie chcemy widzieć  
Nowych bohaterów.  
Chociaż nam realia już się  
pозmieniały,  
jak zawsze szukamy powodów  
do chwały.

Dziś wielu rodaków jeszcze  
nie rozumie kogo bardziej  
kochać. Ojczyznę czy unię.

Ona się rozszerza choć bez  
ofiar krwawych, jej błękitny  
sztandar nie doznał więc sławy.

Jakimż wielkim będzie dla nas  
bohaterem, kto pierwszy polegnie  
pod unii sztandarem!

*Andrzej Sitek*

## **Z Galaktyk**

Znam skromnych badaczy gwiazd  
oziębłych także jak one najmocniej  
śpiących w południe, wstających  
gdy niebo płonie.

Stawiają mnóstwo zer na swoich  
trudnych wykładach i wiedzą na  
tysiąc lat przed którą z gwiazd  
będzie spadać.

Ach jakże chwiejny ich krok gdy  
czasem wzdłuż ziemi kroczą  
Och jakże piękni są gdy w górę  
swe oczy wznoszą.

I choć nie ronią łez to czasem  
Są zakochani, lecz wtedy  
mylą się im dziewczyny z aniołami.

*Andrzej Sitek*

1 nagroda w kategorii młodzieży

\* \* \*

Pędź, człowieku  
Pędź  
Daj sobie to co pobudza Cię do  
Działania  
Póki nikt nie dogania  
Póki widzisz jeszcze jasny świt  
Aby nie stracić nadziei że  
Ktoś cie zastąpi  
Pędź, człowieku  
Pędź  
Nakarm swoje zmysły  
Znajdź to czego pragniesz  
Jeszcze nie czas  
Nie poddawaj się  
Przeżyj tę przygodę  
Do końca  
Widząc koniec czarnego tunelu  
Wszystko unosi się  
"W górę  
Za marzeniami"  
Pomóż sobie  
Odłóż wszystko to co  
Przeszkadza, rozprasza  
Ci w dojściu do celu  
Żal - tylko wtedy gdy  
Stracisz nadzieję  
Tylko wtedy gdy  
Nic nie zrozumiesz  
Bo to czego tak naprawdę potrzebujesz  
Zniknęło  
W poszukiwaniu  
Nie zatracaj się  
Pamiętając o  
Sensie podróży.

***Marcin Pelcer***

\* \* \*

Każdego ranka wstaję  
Przygoda jednak nadal  
Czeka  
Abym się obudził  
I ruszył za nią w nieznane  
Prawdopodobnie przygoda  
Daje satysfakcję  
Reakcje  
Zachodzące w moim umyśle każą mi myśleć inaczej  
Przyjdę, przeżyję i odejdę  
Przygoda to nic innego jak  
Przyrost adrenaliny  
Zachwyty, napojenie umysłu  
Tym co go zabija  
Niepotrzebne wrażenia  
Odbijają piętno na psychice  
Sprawiając wrażenie opętania które  
Nigdy nie odejdzie  
Daje, jednocześnie coś odbierając  
Przygoda wzywa  
Chcąc zatruć  
I zmienić stosunek do otaczającego mnie  
Świata  
Jedynie ja słyszę echo które tak naprawdę  
Nie istnieje : "Po przygodę"  
Przygoda wzywa  
Chcę przeżyć ten następny raz  
Aby nie zatracić się  
Póki mam co stracić  
Bo to czas by być pierwszym  
I zdobyć to czego tak na prawdę nie ma.

***Marcin Pelcer***

\* \* \*

To czego chcesz  
Nie leży obok  
Ciebie  
Nie zauważysz  
Kiedy zaczniesz szukać  
Bo to instynkt (drapieżcy)  
Prześladuje ciebie  
Niepohamowane myśli  
Tępią twój umysł  
Walka  
Bez efektów  
Jedynie mędrzec wzywa  
Kruk nawraca  
Ziemia się rozrywa  
W ostatniej chwili  
To decyzja należy do ciebie  
Nie podejmuj jej pochopnie  
Lecz spójrz jak  
Drzewa tracą swoją wielkość  
Kwiaty przestają zachwycać  
Ludzie przestają do nich wzdychać  
Słońce zachodzi  
Niebo się zapada  
Zaś Kwiat Paproci  
Rozwija swoje pęki  
I czeka na ciebie  
Czeka aż zdecydujesz  
Odnaleźć prawdę.

***Marcin Pelcer***

## **Dziewczynka**

Pośród gwiazd na niebie,  
Pośród drzew w lesie,  
Mała dziewczynka się błąkała.  
Samotna, cicha i bez ducha.  
Siedziała pod drzewem,  
Wpatrując się w zdjęcie  
Zapatrzona w jego mrok.  
Oczy miała zaszkłone,  
Poliki zaś czerwone (d płaczu.  
Nikt nie wie, że potrafi kochać,  
Śmiać się i bawić z innymi.  
To jej wielka tajemnica.  
I nikt jeszcze jej nie odkrył.

***Anna Hadała***

\* \* \*

To wszystko toczy się zbyt szybko.  
Całe życie, młodość i starość.  
Zmienia się wokół wszystko.  
Dlaczego?  
Tego nikt nie wie.  
Mój umysł wciąż błądzi między kobietą a dziewczynką.  
Chcę zawsze rano oglądać blask słońca,  
W nocy światło księżyca i gwiazd.  
Budzić się tylko wtedy, gdy dzień się pojawia.  
Ale życie nie trwa wiecznie.  
Codziennie ktoś odchodzi,  
ale życie rodzi się nowe każdego dnia.

***Anna Hadała***



## **Taniec**

Ostatni taniec z Tobą.  
Ostatni dziś wieczorem.  
Tylko to nam zostało.  
Ta pasja i chęć.  
Ale to już koniec.  
Jeden rozdział zamknięty.  
Taniec zostanie tajemnicą,  
i przeszłością.  
A teraz spójrz mi w oczy...  
powiedz co widzisz?

***Anna Hadała***

## **Być „Kimś”**

A ja w życiu zostanę kimś.  
Nieważne kim, ważne że zostanę.  
Moje marzenie nie spełni się,  
ale mam wiele innych.  
Psycholog, dziennikarz, a może nauczyciel?  
Kto wie...  
Wiem tylko to, że chcę mieć rodzinę,  
męża i dzieci.  
Zostanę żoną, matką i może nawet babcią.  
Będę myślała o przyszłości.  
Zmienię nastawienie do życia.  
Może ktoś czeka na mój krok,  
i zastanawia się co tak długo.  
Ale wiem, że będę kimś.

***Anna Hadała***

## **Czerwone Róże**

Róża zwinięta powoli, pomału, pod płótem się rodzi  
Cieszy się właściciel z nowego nabytku,  
gdy pośród traw widząc ją chodzi.  
Radością i weselem witają ją inne kwiaty w ogrodzie.  
„Róże czerwone są teraz w modzie” śmieje się właściciel.  
Nagle zamilkły młode kwiatuszki,  
przemawia bowiem ogrodu przedstawiciel.  
Różowa lilia spod płotu się kłania i orzeka:  
Drogi moje kwiaty, wiecie Wy z pewnością,  
że to ja za najpiękniejszą w ogrodzie uchodzę,  
Zatem kiedy róża zakwitnie,  
mój tytuł jej dawać na to się nie godzę.  
Rozchyliła szerzej płatki, żeby jeszcze bardziej  
objawić swą urodę.  
Pamiętajcie, na manowce nigdy Was nie zwiodę.  
Róże zdradliwe są, wiem, bom taką jedną znała.  
Każda inna kwiecista piękność jej zdradliwości się bała,  
Z pozoru piękna i pełna uroku,  
A jednak otoczona kolcami.  
Ja wcale się nie bawię waszymi uczuciami.  
Na to róża podszepty zasłyszała,  
I tak oto do mieszkańców ogrodu się ozwała:  
Zazdrość złą rzeczą jest,  
lecz kto pod jej wpływem szemrać wzniecie,  
Niech wstyd poszarpie płaszczu jego kwiecie.  
Ja, choć mam kolce, nikogo nie zraniłam,  
A Ty choć ich nie masz, toś mi zawiniła.

***Alicja Sobieraj***

## **Kim jestem?**

Kim jest postać, którą w lustrze widzę?  
Sama tego nie wiem, więc jej w oczy szydę.  
No co tak patrzysz? Czemu się przyglądasz?  
Jakiej poprawy ode mnie dziś żądasz?  
Kobieta zakłopotana, tak mi odpowiada...  
Nie wiem, czego oczekujesz kochana...  
Ale wiedz jedno, grasz dziś niebezpiecznie,  
Prowadź się bardziej dziewczyną statecznie.  
Hm... Pomyślałam... Czy ona ma rację?  
Czy słuszne sajej ostre dywagacje?  
Może we mnie zaszła jakaś zmiana, zmiana obficie niepożądana,  
Jeszcze się zmieniam - tłumaczę się, kręcę.  
Zatem na razie rad Ci oszczędzę,  
Odbicie rzekło i uciekło.  
Gdzieś pośród chwil codziennych chciałabym uważać  
Aby nie zatracić się - Siebie wyrażać,  
Bowiem wśród codziennych rozterek i kłopotów  
Maskuję się, mieszam wobec upadków, wzlotów.  
Przypatrzeć się czasem należy odbiciu  
Czy zniekształceniu nie uległo w użyciu.

*Alicja Sobieraj*

## **Niemoc**

Nie mogę, ale muszę.  
Muszę, ale nie chcę.  
Nie chcę, ale tak trzeba.  
Tak trzeba, ale nie można.  
Nie można, ale jest taka potrzeba.  
Jest taka potrzeba, ale nie udźwignę tego.  
Nie udźwignę tego, ale powinnam.  
Powinnam, ale to boli.  
To boli, ale muszę spróbować.  
Muszę spróbować, ale to kęsa.  
To kęsa, ale wezmę znieczulenie.  
Wezmę znieczulenie, lecz to nic nie da.

*Alicja Sobieraj*

### **Podróż**

Jest taka podróż, którą odbywasz codziennie  
Przechadzasz się po różnych uliczkach  
Zatrzymując się po to, by na chwilę przystać

Jednakże zapraszam Cię w podróż niezwykłą  
magiczną  
I nie do jednego portu zawitasz  
W którym zjesz swój kolejny chleb powszedni

Nie zniechęcaj się tym, że droga będzie kręta  
Przecież ona też ma swój bieg którego nie da się zmienić  
Bądź skorygować  
Jakiś większy porządek, który nakazuje jej trwać

Lecz uważaj na kamienie  
Będą wystawać i ranić Ciebie abyś stanął  
Nie oglądaj się na nie,  
Tylko spójrz w dal  
W tę najbardziej nieprzejednaną głębie  
Głębie twego życia

**Krzysztof Kamil Bojarski**

## ***Życie***

Przychodzisz nad strumień, o świcie  
I widzisz w nim swoje odbicie  
Zatrzymaj się. Przyjrzyj się mu dokładnie  
Nim ci czasu zabraknie

Życie jest bowiem kruche i trudne  
Ale też krótkie i delikatne  
Jak włos i nitka cienkie  
Wystarczy lekko dotknąć i się już przerwie

Czy więc warto z życia korzystać  
Czy w kościele klęczeć i się umartwiać  
Powie ci coś: Nie pieniądze, nie sława  
Oddadzą tobie to, co miłości chwała  
Druga porada: Szanuj bliźniego jak siebie samego  
Bo nigdy nie wiesz co cię spotka kolego  
Gdy wyświadczysz przysługę drugiemu człowiekowi  
To tak jakbyś pomógł samemu Jezusowi

Pamiętaj jednak: Życie to krótka chwila  
Trzeba się nią cieszyć, bo szybko przemija  
Żyj nie na pokaz, lecz dla Boga i siebie  
A na pewno znajdziesz się w niebie.

***Krzysztof Kamil Bojarski***

### **Szkolna impresja**

Pierwszy zero dziewiąty, wtedy to do szkoły przybyłam  
i pierwszy raz Cię zobaczyłam.  
Twoje oczy odcieniu mahoń rzuciły mi lodowate jak kra spojrzenie,  
nie wiedząc co czują moje oczy wpatrzone w Twoje serce.  
Trwało to może niecałą sekundę,  
i wtedy mój świat zawirował na wiele dat.  
Cały ten dzień myślałam o Tobie,  
jak Cię zdobyć i mieć blisko przy sobie.  
Motyle w moim brzuchu grały radosne melodie,  
lecz w sercu grobowa nuciła się cisza.  
Na me spojrzenia, gesty przepelnione miłością nie reagowałeś,  
a może ich nie dostrzegałeś?  
Traciłam nadzieję na bliższe poznanie,  
dowiadując się, że w Twoim sercu  
tylko zadufanie.  
Lecz nie przestałam mieć scenariuszy,  
które układały się bezwiednie w mej głowie.  
Nie radząc sobie z tym sama,  
udałam się do powiernika z ulicy Leśmiana.  
Powiedział mi jedno piękne jakże zdanie:  
„Pędź na spotkanie nim inni zabiorą Ci Twoje kochanie”  
Myślałam o tym całą drogę krętą,  
aby potraktować to jako przygodę następną.  
Przychodząc następnego dnia do domu mego drugiego,  
zauważyłam ją w objęciach mego ukochanego.  
Po moim poliku spłynęła kropelka  
z gorzkiego strumyku.  
Lecz przypomniawszy sobie słowa przyjaciela mego  
nie poddałam się - chciałam zdobyć jego!  
Na długiej przerwie piętnastominutowej,  
podeszłam do niego i wyjawiałam  
uczucia płynące z serca mego.  
Nasze rozmowy nie kończyły się ni za dnia,  
ni za nocy.  
Nasze myśli łączyły się w jedną wspólną myśl.  
Nasze małe serduszka połączyły się  
W JEDNO WIELKIE KOCHAJĄCE SERCE!

**Katarzyna Sikora**

\* \* \*

Mam cele  
I nie poddam się  
Będę twarda  
Jak orzech włoski!  
Mam marzenia,  
o które będę walczyć,  
By nie stały się złudzeniem...  
Mam siłę i energię,  
bez problemu pokonam wszelkie mury.  
Zburzę je jednym uderzeniem ręki,  
bo świat jest za piękny  
I kolorowy!

***Emilia Godzimirska***

\* \* \*

Zamykam w sobie ból  
Ukrywam wciąż tęsknotę  
Wiem, że nie będziesz mój  
I nie chce myśleć o tym  
Kocham cię i nienawidzę  
Jedno większe od drugiego  
I w nieznośnym świecie się gubię  
Nie mogę się wydostać z niego  
A przecież pragnę tak mało  
Serca, uśmiechu, radości  
Lecz cóż, kocham cię  
Bez cienia wzajemności  
I choć złość się na siebie  
Prawda jednak taka jest,  
Że nie mogę żyć bez ciebie  
I wytrwale kocham...

***Żaneta Lesner***

## ***Pożegnanie***

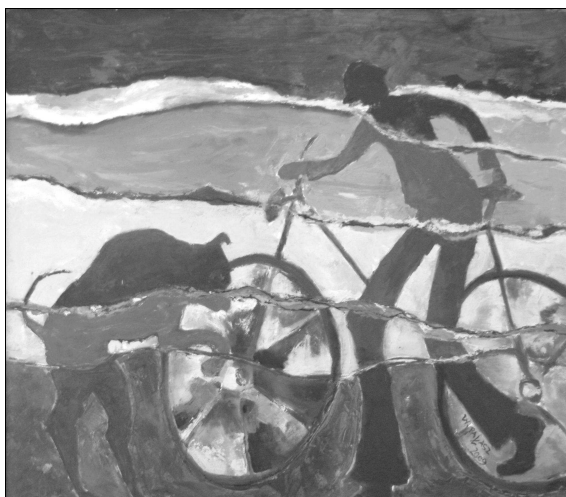
Siedzimy obok ukochanej osoby  
Przy łożu śmierci zmartwieni  
Wiedząc że zginie od choroby  
Prędzej czy później pogodzeni

Zła nowina bardzo bolesna  
Dlaczego akurat ona czy on  
Przecież to śmierć zbyt wczesna  
Mówię śmierci kościanej WON!

Gdyby tak zatrzymać czas  
Gdy razem spędzaliśmy chwile  
Na zdjęciach wspominam nas  
Bo teraz dzielą nas mile

Zapełnione ciepłymi łzami oczy  
Spływające po policzku strumykiem  
Ciekawe jak dalej się potoczy  
Śmierć używek jest wynikiem

***Magdalena Klewicka***



*Wiesława Pałasz – Wejherowo*



## Wspomnienie

po zielonej stronie życia  
pędzi pociąg a w nim ja  
wiatr włosy mi rozwiewa  
i szczęśliwa jestem tak

a wieczorem przy ognisku  
zagram na gitarze takt  
pieśń popłynie tu radosna  
i wesołych głosów chór

a gdy wrócę tu za rok  
będę słyszeć echo śpiewów naszych  
pozostaną mi wspomnienia  
tych przeżytych wspólnie chwil

*Karolina Rost*

## Podróż za wszelką cenę

Pędź na spotkanie przygody,  
Nie zwracaj uwagi na jakość pogody.  
Nim zajmą twoje miejsce inni  
Bierz udział w przygodach czynny.  
Wędrówka, jak magia Ci życia doda,  
Podróż, pragnienie ugasi jak źródliskowa woda,  
Wycieczka w przygodę życia zmieni się jak oka mgnienie  
Podróżą się stanie i marzeń spełnieniem.  
Zmień rutynę na decyzje spontaniczne,  
A twe życie przygodami się wypełni licznie.  
Bądź pierwszym, który pokona boa!  
Bądź pierwszym, który przejdzie Afrykę dookoła!  
Nim inni zrobią to przed tobą  
Ty pierwszy największy szczyt zdobądź!  
Pędź na spotkanie wszystkiemu co obce i odkryte nie jest  
Nie będziesz żałował, bo to życia już zdany test!

*Weronika Markowska*

## Holiday in Svølsna

After 2 hours they finally reached the shore. There was one another car waiting for the ferry, Ralph noticed it had a German number plate. He got out of the car and sleepily ambled up to the information board. As the ferry was due to arrive at 6 a.m. Ralph had been forced to wake up early that morning. 'ELCONE TO NORWAY' the sign said, W letter was covered with a thick layer of rust. There was also the photo of the journey's destination - Svølsna, small island of an oblong shape. Ralph could see nothing through the dense fog, he stood there for about 5 minutes listening to the calm waves. The music of the sea was interrupted by the loud laughter. 'They're definitely German.' Ralph thought and smiled. He turned and walked back to the car. 'Can you turn the heating up?'

'Time to wake up honey, ferry's on its way.'

Hana dug through the blanket and looked ahead. The ugly turquoise car was all shaking as the couple inside burst into laughing one by one. She fixed her sleepy eyes on the thickest fog she has ever seen. This gloomy scenery made her shiver.

'What was the name of the island? Sve.. Slo..'

'It's Svølsna, written with that Scandinavian stroked o.'

'How long are we going to ...' the ferry's foghorn rent their ears.

Old, rusty boat emerged from the mist. It slowly approached the shore and lowered the gangplank.

Ralph followed the Germans, cars got aboard. The ferry was long, there was space for 8 vehicles.

'I'll pay' said Ralph unwillingly leaving warm and comfortable car.

The ferry started moving lazily towards the opposite shore. The bridge was ablaze with bright white lamps, it resounded with the classical music. Middle aged captain got up as he saw the guest through the window. He opened the door and without a single word firmly shook hands with him. Captain clutched Ralph's hand with a smile on his wide polite face. Ralph said with confusion:

'Good morning, how much..'

'Haha ! I was sure you're British ! What city do you come from?'

'Oh, we live near Manchester.'

'Fans of Man Red, huh? My name's Holger, Holg, and this little journey is free.'

'I'm Ralph. Well, this is the first ferry crossing I am not supposed to pay for.'

'Yeh, It's the decision of the Hvitsteinvik City Council, they were worried

about low number of tourists visiting our island. This change was to increase it. Asa, hehe, captain of this ferry I can say nothing has changed.'

'I see. At least your job is easier.'

'Hahah, yeh I run this wreck two days a week. Besides I switch with Peter every month. People cali me captain jokingly, in fact I'm a hairdresser.'

'Heh, I guess it's not very brisk business neither.'

'Hehe, you're right Ralph, even though I'm the only hairdresser on the island.' said Holger proudly stroking his beard. He seemed to enjoy the conversation very much, Ralph noticed his English was very fluent, which was not common in this part of Norway. The ferry was only halfway, it moved very slowly.

'How do you find living on Svølsna?'

'It's great, I mean everything's so peaceful, no real traffic, no hurry. Yeh, of course some youngsters consider it boring and, you know, far away from the world. And one sometimes needs to., get used to things.'

Lights from the shore became brighter, Ralph also perceived the shape of the hills. He realized with surprise they were quite high. Island stretched parallelly to the opposite land. Ralph strained his eyes.

'Heh, don't worry, the town is on the other side of the island. Svolsna is 6,5 kilometres length and 1,5 kilometers wide at its widest point. After we get there you can take the road around the island, or park the car and try to climb up those hills, we cali them Pukkeler. I really recommend it the view is amazing. Yeh, some people say those hills make the town even more isolated.'

'They are quite high compared to ordinary island hills in the area, aren't they?'

'You're right my friend, Svolsna is famous for them.'

'I would expect much more tourists, the view is amazing even through the fog.'

'Yeh, well, I guess it's just not what the modern tourists look for.' Captain shrugged his shoulders. Ferry gently reached the wharf. After the cars rolled down boafs fog lights switched off. Holger briskly jumped down from the deck and tapped on the Ralph's car window.

'Would you like to join me for my morning coffee?'

'This is very kind of you, but we ought to find a free room first. We can drop in later if you want to.'

'That would be great, nothing more boring than sitting alone in this old port. Have a nice trip!'

Ralph turned left, toward the main road which went round the island and led to the village. In rear-view mirror he saw Holger and the German couple entering the port building. They were all laughing.

'Made new friends already, honey ?' asked Hana yawning loudly.

'He's the captain of the ferry, we talked a little, he seems ok.'

'It's gonna be a beautiful day, look.'

The fog was nearly gone. Sea waves, located on the left side of the road, were shimmering with orange sunlight as the sun rose up the sky. The island hills became colorful too, green grass was swaying mildly in the breeze.

'I can't wait to lay on the beach and read. It's so calm in here.'

'And I can't wait to climb up those hills, the view really must be breathtaking.'

Ralph drove slowly. He found what he has been looking for, the ideal holiday place. No tourists, no big cities and no traffic, perfect weather and the views. He became even more happy as he saw a smile on his wife's face.

'I could spend here all my life.' he thought. His dream came true.

'We should find a bar in the first place.' Hana realized how hungry she was.

They reached the south headland of the island where the road turned into a hairpin bend. The south shore was rocky, waves broke on the glittering black boulders. They turned and were heading for the village. As the hills cast a shadow, the west side of the island was darkened. Ralph noticed the slopes on this side of the hills were much smoother. Hana couldn't take her eyes off of the remains of the old-time fishing village. Wooden piles, boat wrecks, stone wall elements, all covered with moss. Big tin rusty road sign said: 'SVOLSNA' and below 'Alt for Norge.'

Ralph got used to the characteristic architecture of Norwegian villages but he has never before seen such beautiful cottages and buildings. The only settled area on the island was a typical fishing village with one main street and the port in the central part. Some of the red and white painted wooden cottages had foundation or even back wall made of stone. What really surprised Ralph about this scenery was no at least one modern element, no cash dispenser or even a neon sign. He parked in front of the 'Havsyn Hotell', which was the highest building in the village, located precisely opposite the haven.

'I hope 'hotell' means hotel.' said Ralph and smiled.

'I hope it's open, they may not be prepared for tourists. Besides the village seems to be still asleep. It's 7 a.m.'

'I'm sure they expect visitors, the owner certainly knows the timetable of the ferry's cruises. I'll check it, hon.' He hopped two stone steps and pushed the doorbell button. Electric buzz sounded inside. Ralph's attempts see anything through the window were pointless, it was all obscured by brown dust resembling soot. He rang one more time but nothing happened. The silence disappointed Ralph, he turned and looked at his car. Hana was trying to fold the map. He glared ahead on haven. Not a single man on the jetty, nobody walking along

the wharf, no seagulls, no harbour sound. Ralph shivered when he realized how still and soundless the village was.

'Told you, we should come back later. What about morning stroll on the beach?'

'Maybe I'll try one more..'

'Hey, why aren't there any boats in the harbour?' Hana interrupted him.

'Well, I guess the fishermen have already sailed out. Let's have a look around.'

They started walking along the deserted street, Hana was taking photos of the mountains in the background. Ralph was confused with the dead silence and the lifeless houses. He quickened his pace, desperately looking for any inhabitants. The pictures on an old hanging signboard raised his hope. They depicted two bagels and a bread. To Ralph's surprise shop was untidy and abandoned too. 'What the hell is going on in here ? It's bloody Tuesday morning, how come the bakery is closed ?' he thought. He decided not to worry his wife with this observation.

'Look, there's a church or something !' Hana pointed the peaked roof with the cross on top.

'A church ! Maybe they're all having a mass !' thought Ralph.

The church was closed, which made Ralph very anxious, he started to sweat.

'Is everything alright ?'

'Yes.. yes, no, NO, Hana, look, it's a bloody ghost town ! I mean, there's something wrong about this village, everything's closed, there's no cars, no boats, no animals, nobody !' he shouted.

Hana frowned, she was looking at Ralph as if he was deranged. Suddenly they heard a far, hollow beeping which sounded from the house next to the church. They looked at each other astonished. Hana realized the surrounding silence enabled her to hear the sound of the calm waves. It seemed the only noise the village made was the beeping. Without uttering a single word Hana and Ralph walked to the house.

'Wait here.' said Ralph and jumped over the wooden fence.

He strode vigorously around the house and found out the back door was open. He walked in sure there was nobody inside. It was dark in the room because of the windows covered with brown soot. Holding his breath Ralph made his way through the cluttered living-room. He carefully entered the kitchen and discovered the source of beeping. Alarm of the half-open fridge was on, the display informed about the temperature increase. '- close the fridge-' it said. Ralph ran out the building and told Hana:

'We are going home.'

The loud sound of the car engine reverberated through the yillage and the hills of Svølsna. Ralph drove as fast as he could. His anger was a combination of the insecurity and complete confusion as well as disappointment. He felt somehow cheated by the beauty of the island.

'It's got to be some kind of joke, I mean, those houses are like abandoned, and, and squalid, and there's nobody.. but, but the fridge it was like, you know. I knew it, they wanted us to come here !'

'What do you mean, honey ? I'm scared.' said Hana nailing her eyes in the rear-view mirror.

'I know about the island from the leaflet. Somebody left it under the wiper, I guess in Fjervagan.'

'Ralph, look.' she pointed the road sign they had passed entering the yillage.

There was a red hand print on the sign's reverse and it was all blotched red at the bottom.

'H.. honey, was it bloo..'

'No, it was't. No, it.. something's wrong. I wonder how our captain will explain all this shit.'

They reached the south headland and passed the hairpin bend turning, Ralph was driving as fast as he could. He held his breath as he saw a huge fog bank scudding towards the road and the hills. It covered the east side of the island and was gradually limiting the field of vision. Ralph turned the fog-lamps on, he knew it wasn't an ordinary fog. Tyres screeched on a wet parking lot of the harbour. The couple got out of a car.

They approached the building which was illuminated with the orange street lamp. It was silent inside, Ralph entered without knocking. Hana followed her husband. The interior shocked her so much she had to lean against the door. Not a single piece of furniture decorated the room, it was all empty and ruined. The opposite wall was only partly covered with a thin plywood so they could see the cliff behind the building. Cold breeze was blowing inside. Source of light, a bulb, was hanging on a cable over the broken window. 'What the..'

'It's a joke, a fucking Hollywood dummy !' Ralph shouted and left the room. He was furious.

'We should call..' Hana took out her cell phone.

'No bloody ferry, no captain, no nothing !'

'No coverage, I'll check yours.'

'Hana ! Listen, get in the car and wait there, I'm going to get help.'

'How Rai..'

'I'll swim cross that channel.'

'No, you can't, no, I forbid you, it's..' Hana knew her husband was always good at great distance swimming, neither the water temperature was an obstacle

as Ralph was a member of British Ice Swimming Club. She didn't want him to leave, she was frightened.

'I'll be right back with help, I promise.'

'But..' She was on the verge of crying.

'Go back to the car and turn the lights off.' Said Ralph and turned towards the channel. He took off his sweater and boots and threw them out on the sand. After brief but intensive warming up, he headed for the water. Controlling his breath, he gradually sank and started swimming.

Hana couldn't sit out. She was moving her cell phone all around the car trying to reach the coverage. The inexplicable situation made her shiver, she was trying to focus on something else. She lowered the window and put her phone out. Nothing changed. 'He'll reach the shore and then what? The nearest city is about 7 kilometers far. If I could only call anybody.' She suddenly contrived an idea. She left the car, and looked up at the hills. 'They're not so steep.' She put on a jacket and took the flashlight from the boot. After 10 minutes of climbing Hana checked her mobile phone. 'Not a single line.' She sighed with resignation and bent trying to catch a breath. The hilltop was close she decided to get there. It took her 5 minutes. The view was so limited she could only see an orange light of the street lamp when she looked down. The dense fog surrounded her. She sat on a boulder, and took out her phone. 'Please, please..'. When she realized it ran out of battery she hurled it screaming with anger. Suddenly she heard strange sounds. The falling rocks, footsteps and moaning, like a noise made of a group of very fast climbers. She sprang on her feet. She didn't know what to do, the noise was becoming closer and closer. It stopped. Hana fixed her eyes on the dense fog ahead. She could see some figures.

'Hello? Any..anybody's here?' she stammered trying to reach to her pocket for a flashlight.

There was no answer. Hana dropped the flashlight which rolled on the ground.

'H..hello? What..' Figures rushed at her from all directions. She hit the ground and lost her consciousness.

Lights on the beach were getting more and more visible with every minute passing. Ralph was switching crawl to backstroke every 2 minutes. However, he made a mistake trying to swim as fast as possible at the beginning. He was nearly out of breath. When he was about 30 meters from the shore he had to slow down. He stopped swimming and tried to take a deep breath. He looked at the lights on the shore.

He opened his mouth wide and his heart started to beat even faster when he saw the dark figures. They were all standing lined up along the beach. Some of them held the lanterns. Ralph recognized one of them. 'Holger you crazy fuck!' he shouted.

None of the figures moved an inch. Ralph began to swim towards the shore. His moves were aggressive, he tried to shout something every time his head came out of the water. Suddenly he felt something touching his foot. Then something grabbed his wrist. Ralph managed to wrench out. There were hands trying to grab his arms and legs everywhere. He was about 15 meters when one of the hands caught his left ankle. The grip was so firm that a terrible pain penetrated his leg. Ralph tried to kick the creatures but another hands grasped his right leg. They were pulling him down. His dramatic attempts to stay on the surface were hopeless. He looked at the dark still figures standing in the line and took the last breathe. He could see nothing underwater. The water became colder and colder.

*Marcin Janik*

*2 nagroda za prozę po angielsku*

## **The Adventure**

Enzo went out of the mali with the wooden basket full of milk and fruits. The weather was rainy and grey and even though it was noon the lights were shining in the puddles of dirty water. Enzo laid his lazy eyes on the colourful pineapple and realised that he couldn't wait to eat it. Suddenly he overheard footsteps. There were lots of them, they reminded him of the time spent in the army. He was unable to resist the temptation of turning back. 16 pairs of elegant black polished shoes tapped fast on the asphalt. 16 men were going towards the building loudly quarreling about some matters. Enzo always thought that being interested in unknown peoples life was a great deal of entertainment. "A - fucking Adventure, c'mon man, couldn't you create any more gay name" said the man in the black suit. "When it comes to me, giving the name to the car is gay in general" stated another man in the black suit loosening his red tie. "Shut the fuck up, I'm really curious what you would make from those letters". Their voices grew louder "Well, just give me some damn time and I'll deliver you a list of names made of those letters" - a man in white shirt said and added quickly - "As far as I remember I have always been tremendous at Scrabble". As soon as Enzo realised that he had been standing without a move he turned and walked away to the car.



It was 1978. Morice Katandale had just finished his secondary school. Wisdom and ambitions he owned made it pretty simple and for him. However he never craved for a well-paid job or for making a good business in his lifetime. He always kept in his heart craving for undertaking some risk, an urgent need of facing to an unknown danger, however he realised that it was weird well.

The lonely walk back home was the way to celebrate the last day of school. Summer rain caught him out of the blue so he started to run in order to avoid having his diploma wet. No one was at home. He got used to it, sometimes he felt like he he was the only man on earth. Combing his soggy hairs back with his hand he put down his bag, and he turned on the TV, after flipper through few programs with commercials, he stoped at one of them. Windows ciinked because of the heavy rainfall. Morice found a pack of Funny Crisps on the kitchen table, and decided to make a tasty sandwich with them for himself. The thought of eating it made him happy. It was never hard to gratify him. Fox News started to broadcast the first pilgrimage of the new Pope. Modest smile appeared on the young male face. Suddenly, loud screeth of tires ruthlessly drowned soundds of the TV and rain. It was so loud, that the boy bend almost to the floor. The shrill sound echoed in his brain long after. Just as hr raised he heard a door bell. The fearl surrounded him, and then there was only silence. He stood there for a couple of seconds till he gained some courage to reach the door. Once he had opened it he realised it was a really bad idea. A middle aged man felt on the floor to get up second after with a great deal of effort. All was covered in blood, his tie, white shirt, and his suit, he staggered out uf the house and mumbled "Just keep aa eye on my car, you punk, I'll be back soon". He was really terrified, much more than Morice, even though the boy was frozen to death. He felt like hie's watching another episode of CSI, and before long, he would became the only witness of elegant man's death. To Morice's surprise the guy holding his arm and looking furiously around sprinted away. Then boy's sight focused on the machnie standing near the garage. It was a massive, dirty banana-yellow Mustang Shelby. Smoke still was floating upon traces of tires. One of headlights was divided into million smali parl of glass still keeping the shape. The left mirror was also missing. The left side of the hood was covered with the stick proudly saying "The Adventure". It all happened in minutes. Morice turned back, he snached his sandwich and ran upstairs. While going downstairs he spotted once again the Pope, it was a really long report about him. The neighbour on the opposite side of the street spotted the boy. Old - age pensioner has never been fond of him and his family. He saw him going out of the house without even closing the doors, the boy threw the rucksack into the machine and then he got in it himself. The massive American car's engine ignited after a second time, he had had some cough first, but then there was only pure dirty musle

in which every real man falls in love. So did the neighbour, "damn, you punk" he grumbled. And Morice Katendale went away, craftily escaped from what used to be known as essential elements of life. His laughter was out loud, he sung "God Save the Queen" along with the Sex Pistols from the beautifully chromed radio. It was definitely his lucky day, end of school, a car, the keys to car, and the road ahead. He stopped at the red lights and at the same time that the engine obediently calmed down he heard police signals not so far, from the rear side. Although he had a driver licence he has never had a car, it made him afraid of doing something wrong. Also the thought of policemen approaching seemed scary, especially because of the blood scars on the upholstery. Morice tightened his sweated hands on the leather wheel. A Black Volvo appeared from nowhere and sopped with the screech perfectly next to the mustang called The Adventure. "Mike!" shouted really frantic driver, "We have to fucking go Mike!" Morice turn his head completely not understanding the man with his nerves lost. "What the fuck? Where is Mike you punk?" The boy now was so scared that he completely didn't know what to say. "Damn" added up the guy and drove away without caring much about speed limits. The police signal became dangerously louder and louder. Morice decided to put the pedal to the metal.

For Morice time took a turn for the better, for something which people wouldn't expect of it. He finally came to Beaver Woods, the small village hidden in pine treetops. He pulled in to the woods and stopped after 5 minutes in complete wild. There he coped with his hunger (that had been grown on him since morning) by eating a crisps - sandwich and some snacks he had bought at the gas station. Mustang covered with millions of rain drops looked really beautiful. Morice still digesting took a few walks around the machine admiring it. He knew much about cars. Peculiar rumbling originating from the trunk attracted his ears. Morice didn't even manage to open it there was a noisy hit from the inside. Trying to make it quiet he grabbed a knife from the baggage and crouched near the back of the car. With a swift movement of his hand he opened the trunk without standing up. As nobody jumped out and started to shoot he decided to take a look. That surely was a day full of surprises taking the car, the man covered with blood and the other man in black Volvo into account. Now Morice could add to it the young man with tied, hands and legs (boy thanked god he wasn't covered with blood). Deep trunk cast a shadow so that the boy didn't see unknown passenger's eyes. Black tape around man's limbs didn't convinced him about his safety so he still kept him at a distance. "Hello?" said Morice to the alien guy with his motionless body. Reply came round instantly, the voice was beastly hoarse "Yeah, listen I recently made up my mind. Man, if you are to kill me, do it now, it is bloody stuffy in here and I guess all of you have to cross some states to feel safe, you know". This unexpected speech was con-

cluded by a long loud exhaust. The boy amazed with the guy's talkativeness decided to do what he has never done before, he told the guy with going into details about his day, from the beginning to the moment he found him in The Adventure. Morice said more words than for the last six months. It took a lot of time, but it wasn't significant any more. "Oh, so I am really safe now" the alien guy summed it up which maybe wasn't on the level, but the boy at least had assurance that he was listening. It became drafty and dark, boy realised that he still didn't unleash the man which was rather stupid, but the guy didn't attack him with complaints. "I'm gonna set you free now" and so he did without debating if he should trust him, he was too tired for it. Luckily the man didn't mean bad so they both hid in the old vehicle avoiding the heavy shower from the drab sky. Morice found out about the past of John, as he introduced himself. John worked as a "confidant" in not quite legal business. Shortly speaking. There were guys in Russia who somehow potted good, firm guns, which then were transported to America by cargo ships. As John was the economist who had also relatives at harbour he instantly took a command on this particular operation. He was ought to see to it so that everything worked correctly. So that the Group received the ware in such fine prices they were offered from the Russian side. The problem was that John didn't appear to be loyal to one Group. He cooperated, he gained a lot of knowledge about cooperation, and he could use it effectively. 60% of the weaponry found original buyers way, 20% hit other groups shelves, and last 10% actually did not ever exist. Of course the first Group paid full 100% but guns were so cheap, they thought at most that the business is medium cost-effective. Some of cash from the other groups (which were fully content) John spared on the "cooperation cost", that is all the people who were involved, the rest, and bogus 10% was clear money. John achieved not only lots of cash but what is more important - contacts. Contacts to make even more dollars and contacts, that was the life of John. Unfortunately not everything worked as it was planned to. A year from initiation of Russian connection and at the same time the beginning of that big scam, group's inspector unveiled the secret business. According to John, he just didn't manage to buy this group's worker because he appeared too suddenly. "He knew Russian, that was something which I haven't foreseen" he added with a complete neutrality. In reply to the Morice's question about John's descent he confirmed his guess that he came from the far east of Europe. The tough accent made it easy to surmise it. "Me and my brothers managed to escape from the poverty the same way the guns were transported here, god I was so lucky to have an uncle who is the administrator of the whole line of the east coast seaports" he mused over it in silence for a while, the boy was waiting, John could not desire to gather the attention of such a silent listener. "Now I need to get back to Connecticut, to my home, I have to get a car

and run away" John wasn't fond of complaining, the fact that he had been tied, threw into a car, and as he claimed stay in there more than 24 hours, he treated this all, as a curiosity. They, the group, took his wallet, everything, probably they were going to get rid of him, for ever. Rain drops pattered endlessly on the metal roof. Darkness surrounded the machine. Mobile phone rung which made two of them shrink. There was a message from boy's mom, Morice read it: "Mo, I told u a hundred times to close the door!, where u? I hope u did not go on the camping week again, ur grandparents arrive on Saturday". Morice put away the phone to his pocket, he took the rucksack, and said to John, who was observing his young rescuer with curiosity "Man, please take this car, I've got to go". Eyebrow of the man went up and he opened his mouth : "What? You can't do this, you saved my life and all, I can't..." Morice interrupt him definitely but calmly "Stop it, please, just take it". The boy got out of the car, threw the keys towards John, and run away. Passing the trees and high hills Morice felt happy like never before, and this warm feeling, stayed in his heart and head till the end of his life. In the light from street lamps, soaking wet he approached his house. Traces of The Adventure were still on the driveway.

*Marek Janik*

*3 nagroda w prozie po angielsku*

## **For longer than forever**

Sometime there was otherwise. Once upon a time there was a girl who lived by the sea. She was very young. She was called "Dot" by everyone but her real name was Dorothy. The girl wasn't beautiful as a model, but also she wasn't ugly. Her beauty was natural. She didn't stand out. She used to read books and play volleyball and tennis. As a seventeen-year-old girl, she was going to high school in her town. Dorothy was very kind person, who had got romantic soul. She liked spring, when trees and flowers were regenerating, leaves started growing and becoming more and more green. Day after day, the sun came up higher and was shining so beautifully. It was the best period in Dot's life.

This girl was me. In school I had a lot of friends. They liked me and I liked them very much, but I didn't bind to them because I knew that I wouldn't have

contact with all after school. My best friends was Emily and Maggie, there were also Betty, Kate and Angelina. We became a group of friends but Maggie and Emily was loved by me at most. We always helped each other. After spring became summer and it was the end of the school. Girls started looking for some adverts where they could find the summer job. We all wanted to work each other, but unfortunately it wasn't possible, so me, Maggie and Emily worked together in Vladyslavovo. Other girls worked in different town, but it wasn't so far from us. We met each other really often. It was very good holidays. One day, girls ran on idea that we should dignify our stay in Vladyslavovo and we decided to drink up our job and holidays. I've never drank alcohol, but it was special moment. When I finish my work, Maggie ask me, if I wanted to go with her to the shop to buy some alcohol. I agreed. Emily was taking the shower, that's why we went alone. Before store, we met some guy who asked us about the lighter. Maggie borrow him the lighter and we started talking. He was older for about 3 years. His name was Gregory and he worked with his friends, Jacob and Matt. As it happened, they lived near our hometown and he had gone to our high school before us. During our work, guys were visited us and we were talking a lot each other. I liked them very much, because they were really kind, intelligent and funny. I knew that we could trust them. We were going for parties together and sometimes I was trying to teach them how to play tennis. Maggie enjoyed spending time with Gregory.

Unfortunately, holidays aimed to the end. After these two moths we started going to school again and our life became normal and a little bit boring. During school there were not as many events as it was at holiday, but I wasn't that worry as Maggie or Emily. They missed guys. I used to Gregory and Jacob, but they were only good friends for me. I preferred walking on the beach when the sun went down and definitely wanted to fell asleep early instead of girls, who wanted to go for party every evening after our work. I didn't concern that Jacob, Matt or Gregory could think something wrong and bad about me, because of my unwillingness of getting around. But they didn't. That's why I liked them very much. I trusted them and I knew that they are good guys. One day, after school, one of the guys – Jacob, called me. He asked me if I didn't mind when we would go for tennis. He told that he forgot how to play and wanted me to remember him some techniques of game. For the first time I thought "Why he's calling me after such a long time? We haven't seen each other for couple of moths" but later I agreed. "Why not?" I thought. "It could be fanny". So it was Tuesday when we went for tennis. Jacob said that he could pick me up in his car. And he did. He arrived at half past five pm. I booked tennis court on six o'clock pm. I spend wonderful time. After the play, Jacob and me started dating. Honestly, I didn't know why. We both had the same interests. We both were laughing for the sa-

me things. I have deeply fallen in love. It was really good between us. Until one moment. I had to left for the class trip. I took too long time, and Jacob brake up with me. He said something like that "I don't feel that I have a girlfriend when you're not here. I think you do not feel it too, so there will be best if we won't be together" It was like knife has put to my back. I couldn't understand it, but was trying to not to acted out my feelings. I was sad. I was... bummed, but I had to go on and live my life. We have been together for four months. Not too long, but it was the best months I have ever had. I was the happiest girl in the world. I knew that I will love Jacob for a long time and I agreed with that fact. I was thankful God that I could experience real love and I realize that there had to be so. And day after day I tried to live further. My life became normal as in the beginning. I was less thinking about Jacob and more concentrating on learning, playing tennis and volleyball or going out with my best friends.

Became winter. The worse period in whole year for me. It was always cold and chilly outside, that I always hated going out anywhere. I remember that my mum wanted to go to mountains for Christmas, but actually we stayed at home. Something happened and I couldn't believe that. Jacob called me. My mum said that I shouldn't enter for the same river twice. I thought that to, so I didn't want to show him that I was still in love with him. So he called me and said "Hey Dot. How are you? Gregory is organizing a party. Will you come? I can pick you up at eight tomorrow. What do you think? Please, say yes. Will be great. We haven't seen each other for a while" It was a shock for me. His behavior seemed like we have been only friends for all our lives. I have grown sad, but wanted to see Gregory and Matt. I agreed for his idea. After this party, everything changed. Jacob said that after our relationship he realized that I'm the person who is very important for him. He missed me and he told that his love was bigger than he thoughts. After few months, we started dating again... 3 years later...

Jacob and I decided to go for holiday. I dreamed about spending time in Paris. My dream came true. In January, on my birthday, Jacob gave me a small gift. It was an envelope. I quickly opened it and I saw some ticket. It was a ticket to Paris on Valentine's Day for us! I was touched! I couldn't believe my eyes! After few days we started preparations for our journey which had to last 2 weeks. "Two weeks in Paris! Awesome!" I was very excited! We asked Jacob's mum to drive us to the airport. She started crying when we were leaving. I couldn't understand "why?", because we were leaving only for two weeks. Maybe she didn't like "good-byes". She was very sentimental woman. I smiled to her and ensured that we will come back soon. After a few hours we were in France. It's hard to describe what I felt then. In firsts days we were visiting countryside and in the fifth day of the journey, Jacob planned to go for the Eiffel Tower. "Finally, wow!" I said. My boyfriend called for taxi and we went to visit this wonderful

symbol of France. We bought tickets to the elevator which led us higher and higher... I was surprised because we were alone. There were no other person with us. I couldn't believe that in the middle of the day no one wanted to go for the tower. The tickets wasn't that expensive. Finally, I got to know what is going on. When we were in the highest lever, Jacob said "Close your eyes". I did it. After one minutes he said "Now.. you can open your eyes" I did it and... I saw Jacob on his knees. He was holding small, red box. That situation took my breath away. I heard his voice saying "Dorothy, will you marry me?". Oh my God! What could I say?! I was sure that he's the right guy. I knew that I will never love someone else as much as I love Jacob. I wanted to have children with him, get up in the morning and see his face and tell him that I love him. I kissed him and whispered "Yes"

After our beautiful trip we went home. We share with everyone that we're going to organize our wedding as soon as it possible. We were so in love with each other that the wedding was three months after Jacob's proposal. Even if it was only three months, the wedding was huge and perfect. Since that time, everything supposed to be even better than in the past. Weeks and months passed and as it happened I got pregnant. Someone thought that I was pregnant before the wedding, that's why we get married so quickly, but it wasn't true. I got pregnant two weeks after the wedding. Our lives became more and more mature and beautiful...

It was the 16<sup>th</sup> of July. Jacob was at work. I wanted to go for some shopping and prepare dinner for my husband, so I went to shop by car. I bought everything what I wanted and I boarded for car. I fire the engine. I only remembered that loudly sound and big explosion.

Now I am dead. I am in purgatory. I have been here for so long, maybe for twenty or thirty years. I stopped calculate since I got to know where I am. It was hard to find what's going on. I didn't remembered what happened. I didn't recognize that place where I am now. It doesn't look like hospital or restaurant or even a room at house. I can't describe it. After some time I met a guy. He hasn't got the name, so have I. Before we met, we didn't exactly know what it means to have a "name". We talking a lot, but we didn't have any memories from our lives on earth. We spend together a lot of time. Our relationship was growing. After ten years, or eleven, spending time with each other, we wanted to go for a walk in this empty area, and then it happened. The man accidentally touched my hand and we both stand like we were burned. A lot of thoughts started going through my mind. It was like a huge headache. I couldn't stand it! I started to remember my whole live. When I looked at the Man I suggested that the same happened to him. I remember my childhood, the period of high school, my first love... my wedding, pregnant... and the accident. I realize that I met my death in

a car. That I wanted to come back home and do dinner for my husband! I remembered that my name was Dorothy. Friends called me Doty. I was 21 years old when I died. I had a husband and I was pregnant... I open my eyes and I saw... HIM – The Man who I met in the purgatory was... my husband Jacob. I couldn't understand it, why he is standing next to me?! Maybe I came back to the earth? No... I was still in the purgatory. There were silence everywhere. I was afraid to say anything. It was like a nightmare. After a while I had a lot of questions in my mind. I had to ask what has just happened. I look deeply in Jacob's eyes and whispered "What are you doing here?" ... After a long conversation, Jacob recounted that he also had car accident at the same day as me. He wanted to stop before the red light will turn on, but he had never done this. The huge lorry has ran to skid and crash with Jacob's car...

When we were getting married, we promised each other that we will love each other till the death won't split up us. That history is a prove that our love is everlasting, even after deaths. We are meant to be each other... for longer than forever.

*Sandra Conradi*

3 nagroda za prozę po angielsku

## **Pędź na spotkanie przygody zanim inni zajmą Twoje miejsce**

It was a cold, cloudy and rainy evening. I was sitting in my room and playing the guitar when I heard the door bell. I went downstairs to check who had come. It was my best friend, Alex.

- Hey Lucas.- said Alex.
- Hey, come in.
- I've got a bad message for you. Cris was assaulted yesterday.
- What?! How is he?
- He is in hospital. A few of his ribs are broken. He has got a concussion. It could have ended much worse. He has to stay in hospital for a few weeks so he won't be able to sing at the Rock Bands' Battle.
- That's awful. He sings excellently. What are you going to do now?
- We have to find another singer. Nick Brown wants to sing with us but you know that he is such a mug. Maybe we will organize a casting, but we are far



from it. That's why I'm here. Could you play with us?

- You want me to sing? I don't think I'm a proper person.
- Why? I heard you singing. You are good and we need someone.
- I have never sung at a concert and I have no experience. I'd like to help you but I can't.
- Think about it and tell me tomorrow whether you will sing or not. I have to go now.
- I'll give you a lift.
- No, thanks. I'll walk. See you tomorrow. Bye.
- Bye.

Alex and Cris play in the band called The Fellows. It's great. They have wanted to take part in the Rock Bands' Battle because the winner would record a CD in Adeline Records. I was sure that they could win, but without Cris it will not be so simple. But me? I didn't think I could ever sing in a professional band.

The next day was sunny, so in the morning I went to the park and started jogging. I have always liked running, especially when I had a problem. I was thinking about the previous day when I saw a football pitch. I used to play football there when I was a little child. I was quite good at it. I could even train in one of the best junior teams in the country. But I didn't. Why? I was afraid of the risk. If I hadn't been good enough, the others would have been laughing at me. Then I thought that I couldn't make the same mistake again. I had a chance of my life so I had to face up to it.

Sam came at midday. I told her that I had decided to sing with the band. She was very happy about that. We had a lot to do before the concert. I had been at The Fellows' rehearsals before and I knew all their songs but singing them myself was another kettle of fish. I was practising every day.

When the day of the concert came I was very anxious. When I was listening to the other groups I realized that our band would have a hard task to do. The announcer called us and we went onto the stage. There were such a lot of people looking at us! We started playing and I did my best to sing as well as I had never sung before. Do you know what? People did like our gig. I thought that I didn't care if we would win. We play for the public and if people like our music nothing else matters. After the last gig the jury came to deliver a verdict. You won't believe- our band won! My mission was completed. I have never been as happy as then.

I'll never forget that day. Now I know that everything is possible if you do want something. I became a regular member of The Fellows. Maybe some day you will see us on TV or buy our CD...

***Ewa Zaborowska***

Wyróżnienie w prozie po angielsku

\* \* \*

Nowadays, there are many places in the world where we can experience new adventures. Many of them just waiting until someone comes and discovers their secrets. We also could be that person but we have to hurry up, otherwise other people could do it before us. When I'm writing these words I'm recalling my last holidays. It was a good time, but if I had proceeded in another way, it would have been the best holidays in my life. Let me explain what happened and caused that it was "only" good holidays .

It all started after the end of school year. I was down in the dumps, because I came down with illness only one day after this event. I spent three weeks at home, doing things, on which I didn't have time during school year. One day, when I was switching over TV channels, I came across an advertisement. The man was saying about a wonderful holidays in every place on the Earth. It sounded unbelievably to me but I was keeping on watching. The presenter said that anyone who wanted to spend holidays in his or her dream place should fill in an application on the website. I didn't have anything important to do so I decided to get to work and fill up that survey. It took me about half an hour. I had never believed that I could win anything in television contests so I hadn't even tried, but this time I felt that it was a chance of my lifetime. I quickly checked if everything was correct and sent it to the travel agency.

For the next week I checked my mail everyday but there was nothing from the contest's organizers. Finally, I lost hope and left off checking new e-mails. I recovered from my illness and, because the weather was beautiful, I decided to meet with my friend. I phoned to him but nobody answered. At first, I thought that he could have his cell phone turned off but I was unlike to him. I went to his house and when I was approaching I caught a sight of him packing something into a bag. At this moment, I reminded myself about the television contest in which I took part. I ran back to my house so as to check the mail. There was one new message. I read it over quickly and I was on cloud nine. That e-mail said that I was one of the winners of this competition. I couldn't believe this. Without reading this message to the end, I started to pack things needed during the journey. My preparations disrupted a ringing phone. It turned out to be my friend, who asked me if I had some time to go with him to the train station and see him off, because he won a television contest. I answered that I was also one of the

winners and I was going to go with him. At that moment he questioned me which seat I had on the train. I answered that I didn't know but I would find out soon. He said that I should have a booked seat, otherwise something was wrong or I hadn't read the message carefully. Actually, I didn't read the instruction as a whole. I turned on my computer and I started to read the e-mail again, now slowly and very carefully. It turned out that below there was a notice mentioning that a participant who wants to travel should previously give a call to the travel agency and confirm his presence, because only first fifteen people could go on the journey. When I have read this I flew off the handle. A chance of my lifetime to explore new places and experience new adventures abroad just disappeared. If I had hurried up and replied earlier, I would have had a time of my life. For the rest holidays I didn't go out and the sole thing I was doing was surfing on the Internet and admiring prospects of tropical islands.

I hope my story will make you aware that all of us could go seeking new adventures, meet new people and discover new places. The only condition is that we have to hurry like other people, similarly to us, also want to do it. In many cases, people that started earlier have much more chances to win this kind of competition, so don't make a mistake waiting for an opportunity but take the bit in your hands, that's my advice.

*Tomasz Cieśla*

ś

1

## **Run to face the adventure before someone else takes up your place**

It was a beautiful winter day. I remember : the first of December 1989. The weather was fine: the sun was shining, the wind was winding, snow was falling down . I never forgot that day...

I was 18 years old. I had been pregnant for 8 month. I didn't have a husband. The father of my child, John, had driven away abroad. My parents died when I was eleven. I was living with my 89-year-old grandmum in a small detached house.

I got to know some man when my parents died. He was helping my grandmum, when I was at school. He was an owner of the old terraced house and the boss of the biggest mason workshop. At first sight he looked like a very

handsome and rich businessman. He was very tall, his eyes were black. He had a characteristic goatee. He was wearing very elegant, black business suits, but he was upset and strange. He was going around the table all the time. He was telling us about that terraced house. He said: 'someone is dying there over and over again'. I didn't believe him. I asked about particular arguments.

One story I rememberd well: „in Nowember 1989 there lived twins there. They were about 3 years old. One day their mother took them for a walk. After passing the gate, someone knocked down the children and their mother. It was horrified. The husband killed wife and 3-year-old children. All over the place there was blood. Next he had hung himself until the police arrived.” I read about it in newspapers. „It is true” I replied.

On 15th December my house went up in flamens. My grandmum died. She wasn't able to run away form the fire. She was the last person from my family. I didn't have anyone else.

My unborn child was in danger. Doctors and nurses took care of me. It was the end of the 9th month of my pregnancy. I couldn't give birth to my child. I didn't have any contraction. I was dismissed from the hospital.

I was looking for a new house. I saw some great offer in a newspaper. I didn't have a phone, so I went to the first shop on the corner to make a call. I made an appointment with a person who would like to sell the house. It was very important for me, because in a short time I would have a baby. I was surprised. This person, whom I had made an appointment with, was the man who tired to help my grandmum when she was alive. He took me to the place, where the house was on offer. I was praying this home wouldn't be his old terraced house... He was driving his car for about 15 minutes... I had an impression that I knew this way... It was the same house he had been talkig about half a month ealier.

He opend the gate. The man took my hand and opend the door. It was that house, where had been living with his wife and 3-year-old twins who had dided one month ealier. I was afraid. I couldn't say anything. Everywhere, on the floor, there were clothes of the children. All the blouse was small, white – green stripy. On the walls there were photos of happy and cheerful twins with parents. The pictures were very colorful. In the background there was some lullaby, a very silently lullaby. The room was very dark. There was one, small window... On the windowsill there were flowers. Near the window there was a desk with a copmuter. It was on. I ckicked enter on a kayboard. The printer printed the photos of a happy family, this family. On the monitor I saw some game for children. I was under impression that the children were there. I was screaming. The owner of that home was going to reassure me.

I was so tired to do something, so I slept on the floor.

I woke up. I had to go to school. I remember : the school was awful. On the walls there was a lot of green, wet lichen. I felt very lonely. Everybody looked at my big belly. I sat near a huge window. I didn't want to enter the classroom, but all the time I was feeling that I had to. I was thinking that my teacher would kill me if I was absent. I stood up and went into the class. I was sitting near the window, at the last desk. I didn't know what the lesson was about . I was looking through a big transparent glass on the wall. I saw a swing made of a barrel and rotten board. After the lesson I went to that place. Behind this swing there was, in the snow, a green bottle. Around me there was nobody. I opened it. There was a letter. I read : „I am waiting for you at hospital. I love you.” . I felt digging in my stomach. My baby wanted to enter the world.

In 5 minutes I was in hospital. I was happy about it. I gave a birth to a daughter.

Two days later a nurse showed me my baby. I took my Ann into my hands and asked the nurse about the letter, which I had found in the bottle. I believed she knew something, because there was only one hospital. The nurse said : „Run to face the adventure until someone else takes up your place”. I asked : „Where? When? What with my daughter?”. She replied: „Now ! To the restaurant round the corner! Take your baby !”. I didn't have time to see more. I ran ahead with my daughter in my hands.

I got rushed into a restaurant and saw red roses all over there. I didn't believe my eyes. "What does it mean ? " I thought. I didn't know what to do. Suddenly someone stopped behind me with a big bouquet of flowers. I asked "Who are you ?" It was the father of my daughter. I was surprised . I asked him : "Why ?". He told me that he went abroad to work to earn money for us. He didn't tell me anything, because he had known, that I wouldn't agree. We were talking until waiter said : „ the time is over. We are closing”. John took me, and our baby, to his house, where all his family awaited us, and asked me if I would marry him. I said „yes, I would darling”. He had bought the house from the man, who had cared about my grandmother and he reconditioned it.

Now we are a happy marriage with two, young children. I am working as a shopassistant in a shopping centre, John works in a mason's workshop. I believe that this old house will bring us peace and quiet and a great time.

*Ariadna Wesółowska*

## ROZMOWY Z KRZYSIEM

*„Mroczy się w naszym zwierzęcousznym państwie”  
Joyce*

Tak, Krzysiu... Znowu same bzdety! Wprost uwierzyć trudno, że ludzie kupują to gównno..

I gdyby się nasza kochana Nadzieja Konieczna - cóż za milusia staruszka! - nie uparła zostawiać nam na progu przeczytaną prasę, nie wydałabym na żadną gazetę ani pół złotówki!

A tamte, kolorowe, nie nadają się nawet na rozpałkę.

Oj, Krzysiu!, doprawdy taka wielka szkoda... - nie widzisz, jak ciskam je; raz po raz; wolno ujmuję w palce iiii... rzucam - o!, frrrruuuu!!! - tuż pod piec!, siedząc w starym, pluszowym, zielonym fotelu przy oknie.

A w nocy stopniało prawie wszystko... Tylko gdzieniegdzie jeszcze resztki pociemniałej bieli, na chodniku zaś znów się przelśniewa żółta skorupa lodu... Nie dość, że wylał cały ohydny brud, to ślisko jak diabli! Założę się, że nie pospali...

Rany Boskie, a co to?!!! Rety, słyszysz?! Szuranie, szuranie... , takie piekielne ssszzzzuuu!!!, które zbliża się, zbliża ..., potem nagle przechodzi w stłumione dudnienie. Tapnięcie?

Jezus Maria, no co to???!!! Ssszzzuu! Chryste, chyba... wali się dach!

Jednak nie! Jednak to... chyba... śnieg...?

A jednak! Tak..., to lawiny śniegu.

Mokre warstwy spływają po spadzistych dachówkach, żeby rzucić się w dół, rozpryskując na płytkach chodnika...

Znów przeraźliwy łomot !

Przed gankiem już wypiętrzył się szarawy pagór!

Rany boskie! A gdybyśmy tak... wyszli wtenczas z domu, mogłoby być już po nas!!!

Napisaliby o tym w gazetach. Już widzę te krzyczące nagłówki; DZISIAJ TRUP POD BALKONEM! albo KOBIEITA W ŚNIEGU I KRWI ! A dalej: „ 8 stycznia roku pańskiego 2004 zgasa niespodziewanie...”! Masz rację, Krzysiu, teraz się tak nie pisze! Prędezej: „ 8 stycznia przed południem wydobyto spod zwałów rozmokłego śniegu zwłoki ciężarnej Melanii Hajwdys, mieszkanki Ciemgrodów...”, albo lepiej „miasteczka Ciemgrody” ...? Tak, tak!, stanowczo lepiej! Nie-

wykluczone, że zamieściliby mą fotografię... I nagle świat dowiedziałby się, iż... była taka jedna. Pomyśl tylko, czy to nie jest śmieszne? Zaistniałabym wreszcie! O ironio – pośmiertnie! A ludzie oglądaliby moją fotkę i kiwając głowami cieszyliby się, że to nie im los pozwolił nieoczekiwanie zaistnieć!

A może by tak, Krzysiu, zaistnieć... naprawdę? Może pójść i postać tam choć maleńką chwilę? Może jeszcze coś spadnie? Oj ty!, żartowałam! Oj, już się nie gniewaj! Nnno, przepraszam... Dobrze wiesz, że obiecałam ci nie zrobić głupstwa! I dotrzymam słowa, bo... jesteś! Ty!!! Moim Całym Wszechświatem, a ja - twoim... Bierzemy więc szybki prysznic, wskakujemy w ciuchy i lecimy otworzyć nasz mały teatrzyk!!! Siup!

\* \* \*

I widzisz, Krzysiu? Życie to scenariusz przez maluczkich pisany. Spisywany doprawdy skrupulatnie, okrutnie...; wszystko, wszystko i wszystko według scenariusza!

Dostawca przywiózł znów za mało chleba oraz czerstwe drożdżówki. Niedługo przyjdzie pani Buldożer - będzie macać pieczywo. Rozcapierzy te swoje paluchy! Rozkopie wsio w try miga, a ja po niej spróbuję znów pięknie poukładać chleby, chałki, bułki... ; spróbuję im nadać krztę estetycznego, „ludzkiego” wyglądu...

Siwa mała!, doskonale rozumie, że nie wolno tak robić...

A po niej wpadnie pani Wielka Kopara i zacznie drzeć koparę. Ciekawe, co znówu wymyśli? Jest wprost niezrównana!

Będę stać, będę ostro handlować, i słuchać, i patrzeć jak się kurczy giętki wąż chciwych chleba czy mięsa rozgdakanych... ludzi (!!).

Tak, mój Krzysiu, człek to ogromna kicha z rozciągliwej gumy. Człek to paszcza, jelita i wielki, przepastny żołądek! Człek to potworna kicha...Doprawdy nie-ludzka.

\* \* \*

Wiesz, mój Krzysiu, nasza pani Nadzieja Konieczna jest kochana i wieczna!

Uwielbiam ją, za te wspólnie przemilczane wieczory, za rozmowy, leniwe pierogi, a nawet za zalany sufit...

Nie wiem, ile ma lat – pewnie z tysiąc...

Co dzień człapie i człapie – stąpa mi nad głową, czyta, czyta gazety – kolorowe!, potem naraz wychodzi dokądś...

Prawie nigdy nie słyszę, jak wraca. Ale kiedy siedzę sama ze sobą w tym upiornym domu i naprawdę mam dosyć – woła ni stąd ni zowąd, do siebie na piętro!

Sączę wolno gorzkawą herbatę oraz śledzę jej ruchy – sękatymi palcami cierpliwie przebiera drewnianka; układa cienkie, brzożowe szczapy na równiutkie stopy – kiedy ona je łupie? Albo, niczym wiewiórka krząta, krząta się w kuchni...

Sączę wolno gorzkawą herbatę , nabierając pewności, iż zapłacę rachunki na czas, i że wytrzymam... finezyjne fochy pani jaśnie Jolusi - właścicielki sklepu, i.... że potrafię znowu zagrać w mym Bezkresnym Teatrze ( wszakże sama stworzyłam ten teatr ) – zatrudniłam w nim setki Bogu ducha winnych, niczego nieświadomych aktorów...! ...

Gram lub tańczę wśród nich i podglądam jak grają czy tańczą .Czasem , choć o tym wcale nie wiedzą, rozdaję im Złote Palmy, Oscary... Hi!

\* \* \*

Stara pani Nadzieja otwarła piekarnik – wypływają ostrożnie migdałowe wstążeczki zapachów ...

Właśnie teraz nakłuwa zapałką kruche, drobniutkie okrągłe, drożdżowe ciasteczka.

Znowu człapie, więc trwa. Jest niczym wiązka upartego światła w ciemności albo wąskie pęknięcie na gładkiej, jednolitej skale; taki ... cienki przesmyk...

Przy niej ta pokręcona codzienność zdaje się być prosta.

Niby w pozornej zgodzie z nędzną egzystencją; z lizajami szarości i z tym tak obojętnym tętmem umierania, nasza pani Konieczna wciąż szura i szura stopami – swoją czerstwą pogodą wszystko umie zakłócić!

Ona tkwi nad przestrzenią; ponad teraz i tutaj, i nad wszelką względnością!

Zegar tyka, lecz nic nie odmierza. A jutro ... będzie jutro. Ruszy czas.

\* \* \*

Ha, doprawdy mój Krzysiu! Dzisiaj poszło nam prawie jak z płatkami – pan Krzywonoś dopisał – ciasto świeże, nie brakło nabiału, zaś chlebuse i bułki ...!

Przewaliła się ciężka, swiergotliwa fala naszych drogich klientów (oprócz Wielkiej Kopary).

Teraz mogę odetchnąć, zerkać chciwie przez okno, czy popatrzeć się w sufit. No, a później będziemy wykładać ser, chrupki, wafle, cukier, cukierki i chipsy...

O, nadciąga pan doktor. Dzisiaj ciutkę za wcześnie. Szczęściem nie ma Jolusi!

- Aaa, dzień dobry! Tak, tak, bardzo proszę uprzejmie rozejrzeć się, proszę...

Stary doktor Tonieja – emeryt psychiatra oraz jego wiekowy labrador Azymut spacerują dostojnie wśród półek - to ich mały rytuał oraz bunt przeciw całej ludzkości i niedużej, niebieskiej, tekturowej tabliczce z napisem „PSÓW WPROWADZAĆ NIE WOLNO!”.

Jest jak zawsze – udaję że coś tam układam, szperam, szperam i szukam... Chwilę biegam cholernie zajęta, jednak... naraz wybucham uśmiechem!

Bo leciwy Tonieja oraz siwy Azymut mają u mnie fory - zwyczajnie !

A wszystko przez mój teatr – pan Tonieja jest jednym jedynym świadomym aktorem w Bezkresnym Teatrze , ha! ,... a jak on , pierun, gra!!!

A Azymut to geniusz normalnie! – oparł łapy o ladę, wielki jęzor wywalił i...



czeka cierpliwie dysząc; zatem to trzeci dzwonek.

Spektakl zaraz się zacznie!

Więc wyjmuję zza lady, czy raczej ... z dna przeszklonej chłodziarki trzy kawałki mięsa – surowe szyneczki; jedną pierwszego sortu, zaś dwie pozostałe przerośnięte tłuszczem.

Kładę je na kontuar. Z nabożeństwem – bez niego nie może się obejść!

Azymut z aprobatą kiwa siwą głową. W jego oczach już zapaliły się iskry żywej inteligencji – myśli.

Uszy postawił w sztorc. Wącha mięso ostrożnie, jednak z dozą pewności.

Jedno ostre szczeknięcie – decyzja właściwie podjęta! Labrador potrąca nosem najładniejszą sztukę. Jest nieomylny. Wiwat i brawo!!!

Doktor Tonieja uśmiecha się do mnie, a ja odwzajemniam ten uśmiech.

- Szlag niech trafi!!! Szlag!!!! Szlag!!! To jest gówniany skandal!!! To Sodomia na ziemi! Chyba padnę tu trupem!!!

Rany Boskie! Czyżby... Wielka Kopara?! Ale... o tej porze?! Cholera! A nie sły-  
szałam, jak weszła...

Głośnie dudnienie serca – szamocze się mi w piersiach w panicznym popło-  
chu...

- Taki skandal!!! Gomora! O mój Jezus!!! Moja matko jedyna!!! Wpierw zawez-  
wę sanepid, a potem policję! I jeszcze prasę zawiadomię...

Serce dudni i dudni jak głupie – płoszy, rozprasza myśli!, a wszak muszę, do  
skunksa!!!, choć chwilę się skupić.

- Proszę pani... - mówię ciut głośniej od szeptu – Zawsze mamy dla pań-  
stwa... tylko najlepszy towar. A... ta partia mięsiwa jest ...gorszej jakości – nie  
na sprzedaż!

- No... jak to? Przecież nie jestem ślepa - wieprzowina jak anioł!

- Przerośnięta i z wczoraj. Przeznaczona na karmę dla zwierząt, albo też do  
zwrotu...

- To normalny jest skandal!! Marnotrawstwo!!! Ktoś by przecież kupił...

- Lecz my dla państwa mamy... wyłącznie... najlepsze mięso od najlepszych  
dostawców...

- W imię Ojca! Chyba... czasem możecie przecenić, a nie tyle dobrości wy-  
rzucić!

- Myśli pani? Bo... Bo właśnie się zastanawiałam nad możliwością przeceny...  
Jednak wadliwy towar. No i raczej nie wolno...

- Toż to najświętszy grzech!

- Ale...

- Nnnnooo..., przeceńże kochana, przeceń moja córko!!!

- Eeeee... To tylko małe dwa kawałki, a ryzyko ogromne...  
- Przecież nikt się nie dowie – od ręki je kupię!

\* \* \*

Uffffffffff!!!! Oddycham.

Za oknami ciut prószy – sznureczki płaskich gwiazdek ; chybotliwa białawość, nietrwałość, półkruchość...

Gdy wróciłam z zaplecza, dźwigając tekturowe pudło pełne chałwowych sztabek, znalazłam na ladzie najcudniejszą różę. Czerwoną. O odcieniu ceglasto mięsnego szkarłatu...

A czy wiesz, mój Krzysiu, że ja kocham różę...?

\* \* \*

Wiesz, mój Krzysiu, przemokły mi buty, więc pójdziemy na skróty obok delikatesów „Halina”, a potem siupniemy na skos przez Czerwone Ugory...

Zaparzę świeżej kawy – lubisz kawę? Pewnie, Krzysiu, nie lubisz...

O!, już widać „Halinę” – żółty sklep pana Bolka to największy konkurent naszej „Kosmicznej Arki”!

Raz, jak nasza Jolusia widziała, że kupiłam tam boczek, zwyzywała mnie od źdźwir oraz zdraczyń zwyczajnych. Dobry miesiąc straszyla, iż przy pierwszej okazji mnie zwolni.

Ale co to? Spójrz, na rogu Kwiatowej i Złotej przed wystawą dość okazały tłumek! Wprawdzie dzisiaj sobota, jednakowoż... Owszem, pan Bolek nigdy nie narzekał na brak ruchu, ale atak klientów zawsze był od środka!

Czemu kłębią się wszyscy na zewnątrz? Hmmmm... Podejdę zobaczyć...

O rety! Krzysiu! Krzysiu najmilejszy!, pocziwy pan Bolek ; sympatyczny grubasek w tużurku , w odwiecznym krawaciku w fioletowe grochy, sam przez siebie przeskoczył!

Na wystawie , w pętach kiełbas, parówek, kich i salcesonów ...eeee... wyeksponował yyy... tabliczkę – magnes!

A na niej jest wiersz!!!!!!! Taki:

*Drogi kliencie!  
Tu, na zakręcie  
w sklepie „Halina” –  
świeża wędlina!!!*

*Nie żałuj kasy –  
kup rarytasy!*

I pomyśl, Krzysiu! Czyż to nie zabawne? W szorstkim, brutalnym świecie, w którym wszelka poezja to zwyczajny przeżytek, naraz robi furorę gładki rym? Kilka zdań, przeplecionych przez wstążki serdelków, czyni boski sukces!!!

Ewenement? ...

PARADOKS!!! Doprawdy!!!

Ale, ale! Po prawdzie cóż to za poezja? – ha!, normalnie „jasna częstochowa”!

Kiedyś, całkiem niedawno, uczono mnie w szkole, że współcześnie się pisze „na biało”!

Wskazane próbowanie trafiać wyobraźnią w migotanie niebytu ...(wsnuć się w nisze przestrzenne, pełne dziwnych... substancji!!!).

A najlepiej się wtapiać w ocean milczenia cierpienia, lub cierpienia milczenia...

Zatem gdyby pan Bolek chciał zamieścić na swojej wystawie tekst liczący na miano współczesnego wiersza, musiałby napisać coś w podobny deseń:

*strzał!*

*żrenice*

*przekrwione*

*gasnące bez jęku*

*mimetyczne*

*totalne bebeszenie*

*ćwiartowanie*

*rąbanie*

*gęsta stygnąca krew*

*błysk noża*

*pokora wiotkich*

*mięśni*

*haka szpon zakrzywiony*

*plamy czerwonej*

*rdzy*

*jedź i żuj!*

*nie ma cienia*

*protestu*

*bo to wszystko*

*kliencie*

*naprawdę dla ciebie*

Widzisz Krzysiu, ile warta jest magia „ prawdziwego” pisania? – normalnie mocz kolejny, kolejne świecówno!

Przecież... gdyby pan Bolek coś takiego zaplątał w pasztetki i szynki, nikt by mięcha nie kupił!

Potencjalni nabywcy uciekaliby chyłkiem do innego dostawcy...

Cóż, że wszystko jest względne?... Również literatura ( więc poezja! )...

Naprawdę słów szkoda - prawda często dusi !; przecież wystarczy zaglądnąć do pustej księgarni - popod warstwami kurzu leżą sobie i więdną jakoweś Leśmiany, Herberty czy inne Miłosze, zaś lokalny nasz Bolek ...- ach! uwierzyć wprost trudno!!!

Och!!! Uwierzcie, doprawdy to wybitny poeta!!! On jedyny - na przekór tam-tym, martwym, poźółkłym - zdołał ruszyć tłumy!!!

Słyszysz, Krzysiu? Posłuchaj! Ktoś otworzył okno i puścił „ Cichosza” na ful. Jednak... nie ma Miłosza! – o tym śpiewa Turnau...

\* \* \*

Luty. Zimno jak w psiarni.

Świat wciąż toczy się, toczy i toczy!

Wyłączyli mi prąd – wredne gnoje!!! Zaś Jolusia obcięła mi premię. Za brak białej bluzki; byłam w swetrze, w tym burym... Ale co ? Ale miałam tam żywcem zamarznąć?! Przecież do wnętrza sklepu wciąż ktoś wchodzi, wychodzi; drzwi uchyla, strzykając strumieniami mrozu ...

Więc obcięła mi premię. I ch....!!!

Coś ostatnio zbyt często wyglądam za okno... Marzę.

A za szybką bieluchną, podstępna srebrzysta niewinność!, za tą szybką, na której chropowate wzory...

Lecz, mój Krzysiu, to miasto upiorne, to naczynie gówna, czasem zdaje się być wręcz nierealnym w swej puchowej świętości. Naraz chciałoby wtulać się w śnieg; w owo magiczne bogactwo błysków i migotów.

Śniło mi się, iż biegłam przez biel w stronę wiosny. Śniła mi się szumiąca, so-czysta, jadowita zieloność!

Śniło mi się - stanęłam na torach i sterczałam bez końca...

Więc tak stałam, a jednak nie nadjechał pociąg!

I nie stało się nic...

NIC!

\* \* \*

A Nadzieja Konieczna już tydzień w szpitalu...

Mam nadzieję... Mam żelazną pewność, że powróci niebawem! Zanim się urodzisz...

*Anna Piliszewska (Wieliczka)*

## pan Tadeusz

jesień  
8.15 -  
zwykle o tej porze  
już przychodzi listonosz  
do tamtych spod czwórki  
potem smugi światła  
nadal niewyraźne składają się  
w wachlarz  
naraż buch! w ponury  
lufcik tej brudnej klitki  
pana Tadeusza

czas nie myśli się toczyć -  
szura w filcowych kapciach  
pod sufitem z którego  
zwisa goła żarówka  
farba złazi ze ścian  
w krzywej pękniętej ramce  
cupnął Bóg i zasnął

w bieliźniarce  
pod stertą cerowanych koszul  
krzyż zasługi i  
złota obrączka

jesień - myśli listonosz  
dostarczając koperty  
tamtych starych spod czwórki  
- a do tego tu obok pana Tadeusza  
nikt nie pisze  
cóż  
widocznie skubany czymś na to  
Zasłużył

*Anna Piliszewska (Wieliczka)*

## Specjalność Knajpy

Nie jest już usmarkana  
ścięła włosy  
myje się co dzień  
nosi wygodną suknię z rozcięciem do samego brzucha  
a co – niech patrzą  
niech im oczy wyłazą aż do gaci

czytała Kamasutrę więc wie co to znaczy  
ją też rajcują spojrzenia i czułe dotyki  
na razie pozwala tylko na to  
jest zbyt cennym kąskiem by tak za darmochę

mamie się chwali że chodzi na angielski  
gdysię z domu urywa by ćwiczyć taniec brzucha

przed ojcem ucieka  
czasem podgląda ją w łazience przez mały lufcik w kuchni  
nocami puka do jej drzwi  
a ona z głową pod poduszką pęka ze śmiechu

na drażku jest najlepsza  
odważna – bez kompleksów  
lubi kłniący blat  
swoje nagie ciało odbite w nim jak w lustrze

za chwilę ma się zgłosić u szefa w gabinecie  
na pierwszą próbę  
trzymajcie za mnie kciuki  
mówi do dziewczyn stojących przy bufecie  
przecież od tego zależy całe moje życie

*Lech Lament (Turek)*

## Przeznaczenie

Lekarz wydał na mnie wyrok. Spotkało mnie coś najbardziej  
żałosnego, co może się przydarzyć człowiekowi. Śmierć.

W nowoczesnym świecie dóbr konsumpcyjnych śmierć  
stała się również dobrem ogółu. I nie tylko śmierć.

Przecucie śmierci. Strach. Rozpacz. Pogodzenie się.  
Grymas śmierci bez utraty twarzy. Teraz albo nigdy.

Koniec pogodny dzięki odnalezieniu Boga, albo taki  
koniec kiedy umierający przeklina Boga, oskarża go.

Złorzeczy mu, nazywa świat pustym i idiotycznym,  
a przeznaczenie - ślepym i okrutnym.

To co naprawdę we mnie umarło to wiara, że mógłbym  
dowiedzieć się czegoś nowego, zbawienną prawdę,

magiczną formułę ocalenia. A zatem nie żyję już w pełni  
a jeszcze nie umieram, jeszcze nie dziś.

*Jadwiga Mariola Jankowska*  
(Turek)

## PRABABKA MARIANNA I RYTUAŁY

zawsze wybierała brzask - świeżość ciężarną  
jak rozwidniałe pąki z nadzieniem rosy  
nawijała na palce stygmaty grzechów  
aż przyplływały blisko ku węzłowiom soczystej brzeziny  
przywracały oddech nagiej niewierności  
a palce kościste sączyły światło liliowe od sasanek  
i do jej zmierzchu dochodził jaskrawy świt  
rozwietrzył suche butwiny starości

tak prababka marianna  
odczyniała rdzawe raszki czasu  
skrzypką oddechu rozchylała żebra płuc  
wprost ku życiodajnym amforom ziół

dreszcz ciała czy duszy  
samookaleczeń konfesjonał  
(któż to wiedział)  
albo życie nade wszystko  
i zapach siebie

prababka miała moc czynienia  
uprawiała czary

*...weź czarnuszkę glistnik kurze ziele jajo cuculus w białe pręgi  
traszki żółtej i zaskrońca czarnowron gorzki wrotycz vulgare  
gniazdo zimorodka z konwalią lanuszka majową zimodrętw  
lelka kozodoja w dzikiej leszczynie z kosmopolitycznym kleszczem  
i jeszcze i jeszcze...*

*moja prababka  
Marianna Kopp-Ostrowska  
z domu Chamier-Gliszczyńska  
zaściankowa szlachcianka  
rodowita kaszubka  
żyła lat 101*

**Edyta Wysocka (Miastko)**



## **brzoza**

choćbyś mi brzozą była  
cierpiałbym jak ty  
piłbym sok z twoich żył  
i szeptałbym tyś biała moja żona  
gdybym jak orzeł szybował  
wysoko coraz wyżej  
byłabyś mi promieniem w chmur przestworzach  
a tak samotna stoisz w świecie  
bielą obmywasz mój krzyk zachwytu  
choćbym żył długo w cerkwi jak mnich  
tyś w porywie serca błogosławiona  
jak wiatr wyniosłbym cię wysoko  
ponad świat do słońca łona  
tu gdzie noc strudzona kona w nas  
rano nosiłbym cię w ramionach świętą i boską  
pieściłbym z sił całych na przekór świętości  
jak nikt nigdy tego nie robił  
bo muzą jesteś mi w słońca łożu  
a w dni pochmurne dzieci radosne mi urodzisz  
w jednym z siedmiu dni  
zrodzone ze świętości  
na krótką chwilę ze mną jesteś  
godzin falą błogosławiona  
jak dotąd nie był nikt  
brzozo-narzeczone

**Andrzej Ziobrowski**  
(Nowa Huta)

## **Do przyszłej żony**

Będziesz miała gronostaje i lisy,  
kapelusze duże i z obłoków  
tylko jeszcze pomyślę, poczekam,  
tylko jeszcze na chwilę odpocznę...

Będziesz miała w złocistej sukni  
małego pajacyka na sznurku,  
tylko jeszcze popatrzę, posłucham  
jak się kłóć wróble na podwórku...

Będziesz miała błyszczące lakierki;  
małe, ledwie mieszczące się w dłoni  
i ogromny sapiący samochód

który zawiezie nas wszędzie  
i nigdzie, z siłą  
dwudziestu koni....

***Bogdan Nowicki***  
*(Świętochłowice)*

## Zdumienia

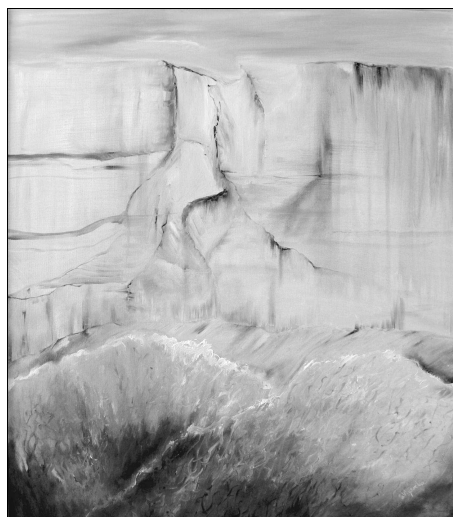
Snuje się ścieżka wąska,  
Co snuć by się chciała...  
Dalej jest łąka grząska;  
Zielona i biała....

I kuśtyka staruszek  
Złamany przez Czas.  
Dalej kładka,  
Lebioda, fasola i las...

I się srebrzy fastryga  
Potoku wśród szumień...

Bóg , chłodzący swe stopy,  
Nie liczy swych zdumień...

***Katarzyna Wiktoria Polak***  
*(Wieliczka)*



*Longina Wysocka – Wejherowo*

## Posłowie

Tegoroczny Wejherowski Konkurs Literacki "Powiew Weny" pokazuje, że chętnych do pójścia śladami pisarzy: Macieja Słomczyńskiego (ps. Joe Alex) – klasyka polskiej powieści kryminalnej, Stanisława Janke czy Doroty Masłowskiej w Wejherowie nie brakuje.

Największym optymizmem powiało w prozie. Każde z pięciu opowiadań (w tym jedno pozaregulaminowe), jakie napłynęły do konkursu w kategorii prozy dorosłych, czyta się z dużym zainteresowaniem. Wszystkie napisane są zgodnie z zasadami kompozycji i struktury tegoż gatunku, zawierają swój osobliwy styl i czytelne przesłanie. Można je śmiało polecić wszystkim czytelnikom, jako dorodny owoc konkursu.

Najciekawszy utwór w tej dziedzinie stanowi niewątpliwie opowiadanie wejherowianki Lucyny Kurpiewskiej - godło "Szpilka", pt. "Antykwariusz", który otrzymał I nagrodę. Autorka zręcznie skonstruowała tekst pokazując, że znakomicie opanowała warsztat pisarski. Na uwagę zasługuje ciekawy sposób prowadzenia narracji oraz umiejętność tworzenia rosnącego napięcia, potęgującego nastrój i atmosferę tajemniczości. Dodatkową zaletą, najwyższej ocenionej przez jurorów pracy (zwłaszcza z punktu widzenia wejherowskiego czytelnika), jest umiejscowienie akcji opowiadania w Wejherowie, z ukazaniem kolorytu miasta.

Lucyna Kurpiewska, zdobywczyni II nagrody w kategorii prozy dorosłych w ubiegłorocznym konkursie "Powiew Weny", kontynuuje w swojej twórczości literackiej zainteresowania historyczne związane z przeszłością Wejherowa. Do treści opowiadania wprowadza postać Gustawa Weihera. Podejmuje też wątek działającego na terenie Europy i Polski tajemnego bractwa Różokrzyżowców. Przedstawiona w sensacyjnym opowiadaniu postać bohatera (studenta), który przez przypadkowy zakup XIX-wiecznego medalionu ze srebra na prezent dla swojej dziewczyny, zostaje uwikłany w morderstwo, stanowi główną kanwę utworu. Prowadzenie dochodzenia na własną rękę o działalności tajemniczej sekty kończy się dlań tragicznie. Podejrzany o popełnienie zbrodni, w wyniku niezrozumiałych dla policji i sądu zeznań, kończy w zakładzie dla "obłąkanych". A w poinczie czytamy morał, że nie warto poszukiwać prawdy za wszelką cenę.

Dość obszerne, ale interesujące, ze względu na rys psychologiczny bohaterki z urazem wyniesionym z okresu dzieciństwa, wydaje się opowiadanie pt. "Mont

Blanc" Magdaleny Topp z Wejherowa - godło "Berminiszka". Zbudowane na monologu wewnętrznym i napisane ciekawym stylem rozbudowanym składniowo, zdaniem jurorów zasłużyło na nagrodę drugą. Fabuła zawiera ciekawe opisy przeżyć z okresu wczesnego dorastania dziewczynki, która jak można przypuszczać, bo nie wynika to z treści opowiadania – traci ojca. Po raz ostatni widzi go przed wyjazdem na wyprawę alpinistyczną na Mont Blanc. Szok rozstania z ojcem odbija się na przyszłym życiu bohaterki opowiadania, co widać w przywoływanych przez narratora obrazach, w jakich ukazywane są problemy dziewczyny w kontaktach z osobnikami płci przeciwnej. Gdy bohaterka opowiadania spotyka w końcu wymarzonego mężczyznę o imieniu M2 decyduje się walczyć o niego i swoje szczęście, mimo napotykanego po drodze przeszkód. Dochodzi do wniosku, że życie jest nieustanną podróżą „pełną nieoczekiwanych niespodzianek”. Jej „Mont Blanc” będzie M2.

Lokalnym kolorytem, podobnie jak "Antykawariusz", zabarwione jest też opowiadanie Elżbiety Czarnieckiej godło "Lejla" zatytułowane "Przeprowadzka", które otrzymało nagrodę trzecią. Napisane jest wartkim tempem i żywymi dialogami, z przejrzystą konstrukcją i zaskakująco szczęśliwym finale. Młode małżeństwo, które postanowiło zamieszkać w grodzie Wejhera, poznaje sąsiada, który jest przekonany, że brat matki Janek cierpiący na autyzm, został rozstrzelany w Piaśnicy. Bieg wydarzeń, nakreślony przez autorkę niemal reporterskim piórem, doprowadza do niesamowitego odkrycia. Nowa mieszkanica Wejherowa podczas przypadkowej rozmowy w firmie poznaje człowieka, który okazuje się synem rzekomo nieżyjącego Janka. Okazało się bowiem, że w 1939 roku uratował go niemiecki oficer. Uzdolniony matematycznie chłopiec został profesorem matematyki w Stanach Zjednoczonych.

O tym, że można dokonać ciekawego odkrycia myszując w pudełku babci możemy dowiedzieć się z opowiadania Anny Ceszke z Wejherowa godło "Agrafka". Zaś oryginalnym zakończeniem swego opowiadania o "udrękach" sprzedawczyni sklepu mięsnego raczy czytelników Anna Piliszewska ps. "Kalagokatia" z Wieliczki, której interlokutorem okazuje się Krzyś, noszone w łonie matki dziecko. Zgodnie z regulaminem praca ta, jak i wiersze autorów spoza powiatu wejherowskiego, nie została zakwalifikowana do konkursu przez jury, ale zgodnie z dotychczasową tradycją, w dowód uznania za twórczość wzbogacającą plon konkursu, otrzymuje przywilej druku w naszej publikacji książkowej.

W szrankach literatów prozy młodzieżowej stanęło tylko dwoje twórców. Zdobywca pierwszej nagrody Mateusz Wasilka godło "Pricekar" swoim opowiadaniem pt. ""Wokół tylko chaos" tworzy niesamowite przygody bohatera typu fantasy walczącego w mieście portowym o miano Pośląńca, by wypełnić

swoje marzenia. W świecie chaosu, niczym w katastroficznej wizji filmu "Mad Max" najgroźniejszym przeciwnikiem ludzi nie są jednak bezwzględni bandyci-motockliści, lecz równie groźne utopce, zapożyczone z morcinkowych "Klehd śląskich". Przygodowy charakter opowiadania stawia bohatera na drugim planie, a liczne wykrzykniki i inne znaki interpunkcyjne podkreślające napięcie akcji świadczą o świadomym korzystaniu z narzędzi językowych przez autora.

W zupełnie innym świecie przedstawionym umieszcza swoje opowiadanie Paulina Richert z Luzina godło "Inkaust", która za pracę "Pokonać siebie" zdobyła drugą nagrodę w prozie młodzieży. Bohaterką opowiadania jest młoda dziewczyna Alicja, która relacjonuje swoją największą przygodę, jaką był długi marsz wyczynowy, podczas którego w niepogodzie i bólu musiała pokonać w ciągu jednego dnia 46 km. Ze szczegółami opisuje ten dzień, podróż kolejką z Wejherowa do Gdańska, a następnie różne perypetie na trasie. Jest dumna, że wytrzymała tempo marszu z dużo bardziej doświadczonymi zawodnikami, dzięki czemu pokonała samą siebie. Mamy nadzieję, że II nagroda zdobyta w "Powiewie Weny 2009" dowartościuje Paulinę.

Miło też stwierdzić, że w Wejherowie i okolicach poetów nie brakuje. Dzięki konkursowi "Powiew Weny" pojawili się następcy, a także konkurenci, dla uznanych w naszym mieście i regionie poetów takich jak Henryk Józefczyk, Adam Klein czy Mirosław Odyńiecki. Pierwsza nagroda w kategorii poezji w grupie dorosłych na pewno nie będzie zaskoczeniem. Otrzymał ją Tadeusz Buraczewski z Redy, godło "Konrad", za zestaw wierszy: "Chłopaki, schodzę do podziemia", "Widziano go..." i "Świat jest powtarzalny".

Wiersze Tadeusza Buraczewskiego świadczą o wysokich umiejętnościach lingwistycznych autora, który zaskakuje czytelnika grą słów, kalamburami i neologizmami, charakterystycznymi tylko dla niego. Znany z upodobań do satyry nie stroni od form klasycznych śmiało sięgając po sylabiczny rytm i rym, choćby w swoim koronnym utworze "Chłopaki, schodzę do podziemia". Wzorowany zapewne na "Wierszach skandalicznych" Tuwima czy "Słówkach" Boya-Żeleńskiego, a jednocześnie natchniony romantycznym mickiewiczowskim duchem (stąd chyba godło "Konrad"), poeta tworzy wiersz o zabarwieniu groteskowym w formie odezwy-manifestu, jako mocny wyraz zniesmaczenia obecną rzeczywistością.

*"Prawda dziś trudna, zeszmacona, brudna  
- weźmy biedaczkę zaraz wprost do łaźni  
trzeba dziś tory przez nowe pchnąć zwrotnice  
- wysadzić mosty zbiorowej wyobraźni!  
Paragraf knebla już jest na wolne słowo  
- i nim legalnie nas wykończy banda*

- cóż – w gównie można umrzeć – również...  
maszt kręgosłupa niechaj dźwiga sztandar.

Aby nie brać dosłownie ponawianej kilkakrotnie w wierszu epifory "Chłopaki, schodzę do podziemia", autor pisze, że "*Może to wszystko – tylko metafora? w przygodzie z życiem – miej Poezji - kartę*" i pointuje swój utwór cytując za św. Augustynem:

*„Dopóki walczysz – to wtedy wygrywasz!”\**  
*Życie bez walki – jest niewiele warte...*

Laureatka drugiej nagrody w kategorii poezji dorosłych - Teresa Mielewczyk z Wejherowa, godło "EmmA", ujęła jurorów wrażeniami i refleksjami z podróży po "świętej ziemi Zbawiciela". O uroku jej liryki świadczą subtelnie zarysowane przeżycia, które "pozostawiają trwałe ślady". Podmiot lityczny zachwyca się "krajobrazem rozległym i pięknym", zanurza się w jego tajemnicy, "każdą przeżyta chwila jest radosna". Ważne okazują się kamienie z ziemi judzkiej - "uwalnia je od piasku i chowa w kieszeni". Będą przypomnieniem, "którego jeszcze nie pojmuje"). Utwory Teresy Mielewczyk cechuje klarowny język, poetycka poprawność, trafny dobór metafor, a także wyrazista pointa zamykająca każdy wiersz.

O tym, że "życie nabiera wartości w zetknięciu z przyrodą" przekonuje nas Maria Magdalena Grzebińska z Wejherowa, godło "Dominika", zdobywczyni III nagrody w kategorii poezji dorosłych. Autorka kreśląc strofy poetyckie pozostaje pod urokiem bogactwa form, kształtów, barw i zapachów natury. Podziwia "drzewa w zielonych parasolach liści" i "słońce figlujące w krzewach jaśminu". Jest obserwatorem i uczestnikiem natury. A swój bieg "po przygodę z przyrodą" nazywa "maratonem życia". I tu przewija się wątek wejherowski (Kalwarii Wejherowskiej). Jak widać twórcy czują się mocno zakorzenieni w naszej „małej ojczyźnie”, która wciąż odkrywana jest na nowo.

Natomiast Marta Szmytke z Wejherowa, godło "Kwiatek", która za swój wiersz "Czas przygody" otrzymała III nagrodę ex aequo, przekonuje do oderwania się od komputerowego ekranu i przeżycia przygody blisko przyrody "bez kabla i anteny" - "zanim człowiek naturę zabierze". To cenna rada dla zasiedziałyh internautów a także ważny głos o przesłaniu ekologicznym.

Wśród młodych adeptów poezji po raz kolejny zwraca na siebie uwagę swoją formą liryki autor z godłem "Martin Polaco", czyli Marcin Pelcer z Barłomina, zdobywca pierwszej nagrody. Jego wiersze trudno traktować z osobna, gdyż tworzą tryptyk i każdy z nich dotyczy w jakiś sposób tematu przygody. Stosując konsekwentnie formę zwrotu do adresata autor używa słów prostych i lapidarnych. Zachęca do przeżycia przygody w celu zaspokojenia zmysłów

i marzeń. Przekonuje o sensie i celu podróży zapewniając, że choć przygoda wiąże się z ryzykiem, może być źródłem "satysfakcji i zachwytu". Jej efektem, mimo zagrożeń ("niebo się zapada"), może być znalezienie prawdy lub szczęścia. Wykorzystując symbolikę baśniową młody poeta pisze:

*"...Kwiat Paproci  
Rozwija swoje pęki  
I czeka na ciebie  
Czeka aż zdecydujesz  
Odnaleźć prawdę."*

Poetyzowanie młodzieży dalekie jest jeszcze od oczekiwań i ideałów. Poeci licealnych środowisk szukając tematu i formy jeszcze niezbyt zręcznie radzą sobie z tworzywem słownym. Ważne jednak, że chcą i próbują tworzyć.

Laureatka drugiej nagrody Anna Hadała z Wejherowa godło "Ania" zaskoczyła nas ciekawym zestawem wierszem. Najlepszym okazał się utwór o dojrzwaniu "To wszystko toczy się zbyt szybko". Napisany "lekką ręką", pogodny i optymistyczny, zawiera osobliwe wyznanie zawarte w metaforze "mój umysł wciąż błądzi między kobietą a dziewczynką".

Zdobywczynią trzeciej nagrody jest wejherowianka Alicja Sobieraj, godło "Alicja". Jej wiersz „Kim jestem?” to głos nastolatki, która zadaje sobie pytanie „Kim jest?” Próbuje też opowiedzieć "Czym jest miłość?" Wiersz ma formę dialogu, który zamyka dojrzała refleksja autorki, że przypatrzeć się należy odbiciu, czy zniekształceniu nie uległo życie.

Nagrodzona wyróżnieniem Katarzyna Sikora z Głazicy pomimo prostych rymów i słownictwa potocznego potrafiła sformułować dowcipną metaforę określającą radosny stan ducha, pisząc że "motyle w mym brzuchu grały radosne melodie". Przygoda młodzieży z poezją pozwoliła odkryć im w sobie wiele wrażliwości i wyzwolić pokłady twórcze. Zapewne o niektórych jeszcze usłyszymy.

Trzeba nadmienić, iż po raz kolejny napłynęły na konkurs godne uwagi utwory z różnych stron kraju, które ze względów regulaminowych nie mogły być rozpatrzone przez komisję. W większości są na tyle ciekawe i wartościowe, że decyzją jury zostają tradycyjnie włączone do publikacji książkowej, będącej pokłosiem "Powiewu Weny". Kto wie, może w przyszłości organizatorzy konkursu zdecydują się na wprowadzenie odrębnej kategorii dla twórców spoza regionu wejherowskiego. Na razie bowiem, głównym celem konkursu jest promocja lokalnych autorów i tworzenie im warunków do publikacji ich twórczości. Pod czym podpisują się autorzy tej recenzji.



## Spis treści

Bogdan Tokłowicz – <i>Drodzy Czytelnicy</i>	3-4
Wyniki konkursu	5
Ewelina Magdziarczyk-Plebanek – <i>Wstęp</i>	6-10
Lucyna Kurpiewska – <i>Antykwaryusz</i>	11-24
Magdalena Topp – <i>Mont Blanc</i>	25-38
Elżbieta Czarnecka – <i>Przeprowadzka</i>	39-43
Anna Ceszke – <i>Pudełko wspomnień</i>	44-49
Mateusz Wasilka – <i>Wokół już tylko chaos</i>	50-55
Paulina Richert – <i>Pokonać siebie</i>	56-60
Tadeusz Buraczewski – <i>Chłopaki schodzę do podziemia</i>	61-62
Tadeusz Buraczewski – <i>Widziano go...</i> , ***	63-64
Teresa Mielewczyk – <i>Zaułek, Pustynia, Powrót</i>	65-67
Maria Magdalena Grzebińska – <i>Licytacja moich myśli</i>	68
Maria M. Grzebińska – <i>Chwile wyrwane z codzienności, Spotkania z przyrodą</i>	69
Marta Szmytke – <i>Czas przygody</i>	70-71
Anna Wiśniewska Richert – <i>Z lotu ptaka, Z głębin moich oczu, Sen o sułtanie</i>	72-73
Dorota Myszk – <i>Miłość bliźniego</i>	74
Andrzej Sitek – <i>Nowy bohater, Z galaktyk</i>	75
Marcin Pelcer – ***, ***, ***	76-78
Anna Hadała – <i>Dziewczynka, ***, Taniec, Być „Kimś”</i>	79-80
Alicja Sobieraj – <i>Czerwone róże, Kim jestem, Niemoc</i>	81-82
Krzysztof Kamil Bojarski – <i>Podróż, Życie</i>	83-84
Katarzyna Sikora – <i>Szkolna impresja</i>	85
Emilia Godzimirska – ***	86
Żaneta Lesner – ***	86
Magdalena Klewicka – <i>Pożegnanie</i>	87
Karolina Rost – <i>Wspomnienie</i>	88

Weronika Markowska – <i>Podróż za wszelką cenę</i>	88
Marcin Janik – <i>Holiday in Svølsna</i>	89-95
Marek Janik – <i>The Adventure</i>	95-99
Sandra Conradi – <i>For longer than forever</i>	99-103
Ewa Zaborowska - <i>Pędź na spotkanie przygody zanim inni zajmą...</i>	103-105
Tomasz Cieśla – ***	105
Ariadna Wesołowska - <i>Run to face the adventure before someone else...</i>	106-108

### **TEKSTY POZAKONKURSOWE**

Anna Piliszewska – <i>Rozmowy z Krzysiem</i>	109-115
Anna Piliszewska – <i>pan Tadeusz</i>	116
Lech Lament – <i>Specjalność kanjpy</i>	117
Jadwiga Mariola Janikowska – <i>Przeznaczenie</i>	118
Edyta Wysocka – <i>Prababka Marianna i rytuały</i>	119
Andrzej Ziobrowski – <i>Brzoza</i>	120
Bogdan Nowicki – <i>Do przyszłej żony</i>	121
Katarzyna Wiktoria Polak – <i>Zdumienia</i>	122
Eugenia Drawz, Henryk Połchowski – <i>Posłowie</i>	123

#### **Autorzy obrazów:**

Andrzej Mozol (4),  
Wanda Kościelna (10),  
Wiesława Pałasz (38, 87),  
Danuta Sokołanko (43),  
Renata Sulik (55),  
Jadwiga Ziomek (60),  
Longina Wysocka (71, 122).  
Anna Krawczuk (130)



Anna Krawczuk - *Stupsk*